



Zygmunt Krasiński

АГАЙ-ХАН



Spis treści

- [WSTĘP](#)
- [I](#)
- [II](#)
- [III](#)
- [IV](#)
- [V](#)
- [VI](#)
- [VII](#)
- [VIII](#)
- [IX](#)
- [X](#)
- [XI](#)
- [XII](#)

AGAJ-HAN

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Zygmunt Krasiński

Poświęcone Marii

WSTĘP

Bawił Samozwaniec w Kałudze z małą liczbą bojarów, lecz znaczniejszą Tatarów i dońskich Kozaków, przemyśliwając, jakby jeszcze utrzymać się przy tronie. Trafunek zdarzył, iż Tatarzy Jego wpadli niespodzianie na rotę Polaków pod rotmistrzem Czaplicem i kilku wzięli w niewolę. — Zwątpiewającemu już o sobie człowiekowi najmniejsze powodzenie zwycięstwem się zdaje. Uradowany nim nad miarę, fałszywy Dymitr wspaniałą wydaje ucztę; po tej obwieszcza łowy, winem i miodem potężnie sanie ładować każe i wyjechawszy w pole, na zamierzonej między sosnami równinie znów rozpoczyna gody. — W gronie otaczających go Tatarów znajdował się niejaki Urassow, niezbyt dawno z bisurmańskiej na grecką wiarę przechrzczonej. — Ten, długo w łasce u Samozwańca będąc, kijem od niego obity i do więzienia wtrącony; przywrócił go wprawdzie Samozwaniec do łaski, lecz nie wymazał tym pamięci poniesionej krzywdy — żądzy pomszczenia się za nią. Najsposobniejszą do nasycenia jej zdała mu się chwila obecna — zniósł się więc z Tatarami obrażonymi również za zabicie ich caryka Kazimowskiego — a gdy Samozwaniec dużymi roztruchanami spełnia miody i wino, gdy rozchmlelony traci wszelką przytomność, z pistoletem z tyłu przypada Urassow, strzela, rani, ucina mu głowę. — Inni Tatarzy ciało na ćwierci sieką, głowę kładą do sakwy i do Moskwy uwożą. — Bojarowie, widząc mord, uciekają. — Trzech tylko pacholąt polskich, słabymi siłami do ostatka broniąc nieszczęśliwego, dowiedli, że Polak odstępować nie umie. — Tak zginął! oszust nikczemny i podły, w obyczajach rozpasany na wszystko, co niecne. Znalezione w jego komnacie Talmud, guzy rzemienne do modlitw i Biblię.

Tymczasem Maryna dowiedziawszy się o mordzie, zrazu nieszczęściu wierzyć nie chcąc, sama udaje się na miejsce, a znalazłszy rozsiekane tylko szaty i członki bez głowy, pełna żalu i rozpaczy, już nocą do Kaługi wraca. — Wśród zgietku i tumultu, z pochodnią w rękę, z rozczochranymi włosami, z obnażonym

tonem przebiega hufce żołnierzy, a miecz przykładając do piersi, z przeraźliwym krzykiem woła o pomstę. Lubo Zarucki z 1500 Kozaków opowiedział się przy niej, atoli Moskale w Kałudze odarli ją ze wszystkiego i do więzienia wtręcili. Z więzienia taki list napisała do Sapiehy, starosty uświackiego:

„Wyzwólcie, dla Boga! wyzwólcie — dwie niedziele mam tylko zostawionych do życia; pełńcie sławy, nabądźcie więcej, wybawiając nieszczęsną. — Bóg będzie wiekuistą zapłatą.

Maryna, 1611 r.”

Posyłają bojarzy po Michała Romanowicza, syna metropolity Filareta, i obierają carem.

W tym czasie zuchwały, wyniosły, niezmordowany wódz Kozaków, Zarucki, nie opuszczający widoków swoich, póki zostawał blask najmniejszej nadziei, Zarucki, mówię, po odstąpieniu Pożarskiego dopadł z Kozakami swymi do Kołomny, tam zabrawszy Marynę (z którą niektórzy mniemają, że się już ożenił) i małego syna jej, mieczem i ogniem Razan i Peryasław pustoszył. Wszystko obracając w popiół, wszędzie krew rozlewając, zbliża się do Astrachanu, zdobywa go i wojewodę śmiercią karze. Wkrótce pomnażają jego potęgę Kozacy z Terku. — Zuchwałość i szczęście człowieka wszędzie postrach rzuciło. — Oddalenie się Polaków dozwała Moskalom ogromne wojsko przeciw zuchwałcy wyprawić. — Zarucki, zbyt słaby, by się tak przeważnym siłom oparł, uchodzi aż nad rzekę Jaik; długo ścigany, schwytany nareszcie w tych bezdrożnych pustyniach z Maryną i jej synem — sam na palu życie kończy. — Maryna utopiona pod lodem. — Syn jej, mający tylko dwa lata, nielitościwie uduszon.

Amor ch'a nul amato amar perdona.

Dante

Wieże Kaługi z daleka pod chmur zimowych nawałą coraz szarzejają, bo wieczór się zbliża. — Ale dosyć dnia jeszcze, by oświecić te wzgórki, śniegiem obciążone, które kołem okrążają równinę, z której śnieg zmieciony; a nie wietrzysko go zmiotło, ale ręka ludzi, by na gładkiej ziemi panu lepiej przy uczcie i winie się działo; naokoło gasnące ogniska.

Teraz już po biesiadzie; na stoły zastawione, na porzucone ostatki sący się topniejący szron ze świerków i sosen.

Przeszła godzina godów, dziwne po sobie zostawując ślady. Płótna namiotów leżą na ziemi, czasem dysząc fałdami, kiedy wiatr pod nie się wkradnie — zagmatwane w ich sznurach i powrózkach siodła, rzędy, kufle, kosze, dzbany, a tu i ówdzie na białym tle plama krwi, już sucha — znać, że od kilku godzin pije z niej powietrze — ale jeszcze nie czarna, dotąd czerwona, połyskująca — znać, że dzisiaj wylana.

Stoły jedne za drugimi jak potężny wał się ciągną na owej zmiecionej dolinie. — Drugie rozrzucone, jak wyspy rozpusty, pomiędzy sosnami, które idąc od wzgórzów niegęstymi szeregi stąpają, otrząsając śnieg z ramion, aż do tego rzędu stołów. Przed nimi, co zostało czystego miejsca od boru zachodzącego naprzeciw, to zawalone taborem wywróconych sani; a z tych sani sypią się na dół ćwierci mięsa, beczki miodu, beczki wina potrzaskane, skąd miód i wino już nie płynie strumieniem, ale czołga się skrzeptymi kroplami nad zamarzłymi bryły, z których barwy przebija dotąd barwa miodu i barwa małmazji.

A naokoło, w prawo i w lewo, jakby na poboju, porzucone kozuchy, kołpaki, oręż; strzały, wbite w grudę, tkwią ostrzem, pierzem drgają za podmuchem wiatru. Sajdaki próżne, kubki z drzewa, czary miedziane, rzemienia od chartów i ogarów, sieci i pale, trąbki i torby; a nad tym wszystkim znowu plamy krwi gdzieniegdzie — i popiół szary, i węgle, co konając, sypną czasem iskrami.

Wśród tego zgietku leżą ciała trzech pacholąt; każdy padł inaczej, inaczej też leży — pierwszy z rozplataną głową, z rozciągniętymi nogi, drugi z przeszytą pierś klęczy, jedną ręką przymarzył do ziemi, a plecy przymarżyły mu do sani z tyłu; trzeci opiera się całym bokiem na grudzie, łokieć wparł w grudę, a czoło zwiesił na piersi. Na ich twarzach świeżość i młodość zestarzała się od bólu i od mrozu. Sine pręgi po szyi i licach, krew, ścięta od zimna, połyskuje gdyby jakie hafty *na* sukni — a szaty ich polskie, a uzbrojenie ich lekkie świadczy, że jeszcze nie dorośli wieku do bechtera i szabli. — Roztłuczone klingi jak szczątki zwierciadła migają naokoło nich; złote rejkaje zostały w dłoniach i społy się z nimi mocno na zawsze. Ich palce, szronem okryte, kręcą się wokoło ornych rękojeści, gdyby oprawy ze srebra — a musieli jednak potykać się dzielnie, bo ziemia poryta i trzeba było dzielnego parcia stopy, by ziemię poryć tak twardą. Nie za pierwszą raną polegli, bo każdy z nich kilka ich liczy — ale żadnego wroga nie zabili, bo nie ma trupa, co by leżał naprzeciw.

Szata jakowaś mignęła wśród gęstwiny boru, słysząc, jak podkowy nurza się w śnieg, to o lód dzwonią. Przyjechały — skoczyły na ziemię dwie postaci pośród zmierzchu wiecznego w borze — jedna została przy koniach, druga wyszła z

drzew i stąpa dziarskim krokiem, aż dojdzie trzech pacholąt, stanie przy nich, czarne okręci oczy i namyśla się.

Szeroka szuba od szyi do stóp zakrywa całą, ale spod sobolowego kołpaka pierścienie włosów, pod szubą nadymające się dwie fale, na licach gładkość, na ustach wdzięk i ponęta róży wydają, że niewiasta. — Z czoła sądząc i z pychy na nim, to mąż i mąż dużego ramienia.

Przeskoczyła trupy, które w grudę się zamieniły, i szła dalej — aż tu nowa zapora ją zatrzyma: w szacie książęcej kadłub bez głowy; głowy ni dalej, ni w prawo, ni w lewo nie widać — ale na ręce, odwalonej cięciem pałasza, świeci pierścień, a on dobrze znany jej, bo krzyknęła.

Był to krzyk nagły, głośny; znać po nim, że mowa z tych ust zwykle padać musi jak tony muzyki; ale zarazem w nim odbiła się cała dusza — pełno zniszczonych nadziei, żądza niewstrzymana osiągnięcia ich raz jeszcze. Był to krzyk królowej na ruinach swojego pałacu, wojownika na polu przegranej — ale nie żony nad ciałem męża.

Jak tylko ten głos doszedł boru, wnet rzucił się w pogoń dotąd stojący przy koniach. — Leciał jak strzała, gdyby strzała mogła podnieść się, raz dotknąwszy ziemi, i lecieć znowu — przybiegł i spozierając, klasnął rękoma jak dziecię zazdrosne, kiedy widzi drugiego stłuczoną zabawkę — ale razem jak mściwy człowiek, kiedy zemście jego stanie się zadość.

Bo też w młodzianie owym było coś dziecinnego i straszego zarazem — ani wdzięk dziecinny szkodził w jego rysach wyrazowi odwagi, ani też wyraz odwagi, choć srogi, nie psuł wdziękowi młodości — oba mieszały się ciągle lub rozdawały się, jeden nad drugim brał górę, chwilą później stłumiony wracał i odpędzał tamtego — a oczy jego były żywą tęczą uczuć, zmienną jak opałowe połyski.

— Witajże mi — zawołał — panie tylu carstw i grodów, i gródków! — to mówiąc, wstrząsał głową, na której leżała misiurka, złotem okwieciona — potężny i wielmożny kniaziu moskiewski! — i igrał z siatką żelazną, spuszczoną od misiurki na kark, ramiona i czoło — najjaśniejszy i niezwyciężony jedynowładzco gospodarstw tatarskich! — i przebierał palcami po szarfie zielonej, złotem ziarkowanej — panie i dziedzicu wszystkiej Rusi, Dymitrze, Samozwańcze, Żydzie! — i tupał żółtymi bucikami z srebrnymi ostrogi — przepadłeś, jako należało się tobie, brzydki oszuście, z koroną na czole pryszczami zasianym, na głowie potwornej z podłymi rysami, obmierzła duszo, rozpustniku, szalbierzu, opity winem i miodem, pełny mięsiwa i jadła!

To mówiąc, drżał cały od złości, aż łuk, przewieszony na plecach, zabrzmiał o

miedź sajdaku, aż szabla starta się z ogniwami łańcuszka, na którym wisała — a podczas tych słów głos jego przybierał rozmaite tony, przebiegał od słodkiej nuty dziecinnego śpiewu aż do grzmiących dźwięków surowego męża — to ostrym się stawał i zbliżał do świstu, aże znowu słabiał i znowu potem rósł w siłę, a przy końcu tak był okropny, pełny zawziętości i urągania, że coś w nim podobnego do skowyczeń psa wśród nocy zimowej.

Dzierżyła oczy k'niemu niewiasta niby z politowaniem, niby z pobłażaniem, jakie się ma dla dziecka lub szalonego; ale na jej czole wiele się działo tymczasem — to śnieżna skóra wygładzała się, to marszczyła się w krzyże i kółka podług myśli przelatujących w mózgu — znać zatem, że nieład i burza w jej duszy.

— Agaj-Hanie, podnieś tę rękę nieszczęśliwą i zdjawszy książęcy pierścień, oczyść go i oddaj!

Gibko schylił się młodzian i porwał za rękę zbroczoną; ale żeby pierścień wyjąć, musiał dobyć kindżału i popracować wokoło palców, szron odskrobać, krew skrzeptą rozetrzeć, skóry szmaty oderwać, a kiedy z palca sama kość została, wtedy pierścień wysunął, rękę odrzucił daleko ze wstrętem, złoto i kamień tarł i gładził, dopóki nie załśniły po dawnemu, i zbliżywszy się do pani, ujął za dłoń i sam chciał wkładać, ale dłoń go odepchnęła, bardziej jeszcze spojrzenie.

— Dobrze waszmości grać na cymbałach i kotłach gwoli naszej zabawie — ale waszność pamiętaj, kto jesteś, a kto ja!

— Kto jesteś? — zawołał Agaj-Han. — Myślisz, żeś wdową po dwóch Dymitrach, carową moskiewską, gospodarką ziemi i księstw, i miast? — Nie. — Jesteś dla mnie Maryną, piękną nad pięknymi, lwicą, panią pustyń mej duszy, gładszą od hurysów w raju nam obiecanych, urodziwszą nad wszystkie święte greckie i łacińskie, panią moją, wyniosłą i hardą. — Takiej mi trzeba!

Ta mowa nie obruszyła wcale Maryny. — Spogląda w oczy mowcy ni zmieniała się na licu, jedno wita każde jego słowo uśmiechem jak pani, co dozwala paziowi żartować, czując się na władzy jego ukarania.

Twarz Tatara skrzywiła się i z miękkiej, świeżej na chropowatą, nadętą się zmienia. — On poznał bowiem myśl carowej. — Mignęła zawiedziona namiętność w jego oczach jak błyskawica, kiedy potrójnie się łamie, a ręką szarpiąc futro na kaftanie, wydał krzyk, na który, zdawało się, że wprzód pęknać jego piersiom trzeba.

— Wasza uprzejmość i miłość! Hej, lotny mój koń i brzęk moich ostróg, i klingi ostrze, i strzemion blask, i buńczuka powiew, i chmura kurzu, w której

przelatuję stepy, jako duch i książę ich, lepsze dzisiaj niż ten kadłub mroźny, ten pierścień marny, to imię carskie próżne, to wielkie państwo, co się rozleci jak skóra na ciele po ukąszeniu padalca,

A co mówisz o moich kotłach i cymbale, to, żeś nieświadoma tajemnic Samarkandy i Diarbeku — to, że ci diament Salomona nigdy nie bił w zrzenicę, choć twoja zrzenica jego blasku pełna — to, żeś nie słyszała rozmów pomiędzy świątobliwymi i mądrymi. Ale o tym później; teraz znaj mnie, jakim jestem, jakim byłem raczej kiedyś, kiedyś, nimem do Wołgi się dostał; nimem w Rusi greckiej i zimnej służby zapotrzebował. — Allach, Allach!! — tak wołam zawsze, kiedy zaczynam mą powieść — bo Wszechmocny strzeże królów i królewskich synów.

Oparła się o sosnę owdowiała pani, przy ognisku palącym się dotąd, pod pokryciami z skór, ostatkami namiotu wiszącymi na gałęziach — na pół słyszy, na pół myśli gdzie indziej lata, gdzieś tam ku Kremlinowi, gdzieś tam na tron carów się wspina po głowach bojarów. —

A on zapalony, niewstrzymany, z czołem, na którym błyszczą tysiąc wspomnień i nadziei, nie już sługa Tatar na dworze Dymitra i Maryny, ale młodzian z krain południowych Azji, marzeń ognistych rozhużdany goniec, pustyń dziecko promieniami słońca karmione, łowczy za tygrysem i lampartem, farys z Szczęśliwej Arabii, kochanek dziewczyc o czarnym oku i włosie, bohater w walkach na wielbłądzie i dżanecie — ciągnął dalej z żywymi poruszeniami, podnosząc głos jakby do śpiewu, ale śpiewowi nie całkiem folgując, by wyraźniejszymi były słowa.

— Na różańcu mego ojca tyle rubinów, ile tysięcy go słuchało, tyle diamentów, ile miast pod nim; w haremie tyle dziewczyc, ile gwiazd na niebie, a jedna tylko królowa, blada jak miesiąc, z oczyma jak szafiry, z rzędem pereł w kielichu ust różanych — matka moja.

Namioty ojca, jak fale wielkiego morza, bieleją na stepach, kiedy Azraela wezwie do boku. — Stada koni, hordami rycerzy obsiadłe, latają gdyby Simumu wiry. — Złote ostrza spis tleją przy jego namiocie w nocy, jak zbiór gwiazd, na straży przy świętej jego głowie — a mnie, dziecku, zmiatają kurz z drogi czoła hanów i paszów, powietrze chłodzą wachlarze dziewczyc i brzmia u wchodu do życia poetów lutnie, wieszczby proroków, wśród chmur z kadzideł, w ogrodach z róż, gdzie fontanny biją tęczkami, gdzie motyle drogimi kamieniami, a kwiaty motylów kochanki, piasek złotem połyska i każde dźbło trawy nad szmaragd jaśniejsze.

A kiedym wyrósł niemowlęciu nad głowę, klacz mi osiodłali emiry i strzemie srebne trzymali, kark podstawiając pod stopę siadającemu — i łuk

jednoróżcowy mi dali, sajdak z kości słoniowej i strzałę z drzewa róży z ognistym u ostrzów kamieniem. — Każda z nich, lecąc w górę, była wschodzącą, spadając na dół zachodzącą gwiazdą; i wypuszczałem roje gwiazd takowych znad siodła z jedwabiu, jakby duch jaki, pan błękitnego przestworu.

A kiedym wybujać zaczął wyżej chłopca, sięgając już szyi ojca mego, wtedy mi lotnego dali bieguna, kolczugę księżycami zasianą i oręż farysowy; a miałem serce po temu, skaczące mi w piersi do bojów, jak mleko w łonie matki do ust dziecięcia. — Na polach ananasami okrytych zwarliśmy się nieraz — pośród kwiecia padały trupy. — Och! ty nie wiesz, co to bitwa nasza; chmury, patrząc z nieba, zazdroszczą nam lotów i blasków naszych. Słońce wasze jest upiorem naszego; ono wre w środku błękitów nad Kaszmiem, nad Iranem, nad brzegami Kaspii, wokół Stambułu i jeszcze nad górami Krymu, jak zrzenica samego Allacha, jak koło z topiących się wiecznie diamentów, których krople w promieniach leją się na nas i życia nam dają więcej niż giaurom Północy. — Drzewa, kwiaty, strumienie, fontanny, kopuły, wieże, pierza ptaków, grzywy lwów i koni, oczy dziewic i mężów zbroje — tyle światła przejmują, iż świat mój wydaje mi się teraz chwałą nadludzką, patrząc na świat wasz, hurysa moja.

A skarby carów! Śmieję się z nich, harda pani — to błoto i kurz! — Ich korony naszych krymek niewarte. Ich kamienie niewarte kwiatu polnego na niwach Tekbiru. Z ich szat jaszczurki ruin Daldeku by się przedryżniały. Gąsienicę znad brzegów Hindu okręć wokół palca, a żywiej zajaśnieje od ich pierścieni.

O chodź ze mną — pójdziem w kraje słońca, gdzie konie skrzydlate, gdzie powietrze jest morzem światła, każda chmura łódką kosztowności, powiew każdy aniołem woni, każda noc miesięczna dniem letnim najpiękniejszym, a dzień każdy objawieniem się Boga! —

Uśmiech uszczypliwy błąkał się na uściech Maryny, niepewny, czy usiądzie na nich, czy odleci tak jak zwykle — w zadumaniu. Wtem odezwał się tętent — pędzą na dwóch koniach jeźdźcy — młodzian rzucił ku nim spojrzenie sokoła.

— To Urassowa Tatarzy — zamordowali męża twego i wracają po ciebie. Czekaj no, hurysa moja!

To mówiąc, oderwał łuk od pleców, strzałę zarazem z kołczanu i nogę wyciągnął przed się. — Nagle, tak nagle jak cień chmury burzą pędzonej, odmieniła się twarz jego. Znikło pacholę marzące o kwieciach i słońcu. Dziki stanął, krwi niesyty mąż, dziedzic gengiskańskiego rodu, w postawie naddziada, kiedy pierwszy rzucał w grunt czaszkę zbrogzoną, węgielny kamień wieży z głów pobitych nieprzyjaciół. — Biegają jeźdźcy naprzeciw — z cierpliwością fakira dopuścił ich na śmiertelną metę; mógł być ich ranić od dawna; ale nie — on zabić chciał.

Okno w piersiach przodem biegnącego utopił, a chwilę później i strzałę; odwinął rękę po drugi pocisk i ten przyłożył do cięciwy — bliżej mu jeszcze było do piersi drugiego; przez chwilę bawił się pewnością, iż go dosięże — palcami igrał po cięciwie jak śpiewak po strunach harfy przed zaczęciem pieśni — wreszcie naciągnął ją, aż stęknęły rogi łuku, a Tatar zajęczał i runął z siodła pomiędzy sanie.

Nawykła znać niewiasta do takowych obrazów; kiedy niebezpieczeństwo przeszło, zawinęła się w płaszcz i znów oparła o sosnę, bo jej potrzeba się namyślić, nim wróci do miasta.

W Agaj-Hanie mord obudził insze wspomnienia; dalej więc mówił, oparłszy się na łuku, ale już nieśpiewnie lały się jego wyrazy, zgrzytaniem zębów każde szarpał słowo:

— Tak, mój ojciec świętą położył głowę w bitwie z Dżarmidem na Kiafelu błoniach. Darmo przez dziewięć słońc i dziewięć nocy, osaczeni, walczyliśmy tako, że aż diamenty pocily się na naszych turbanach. Sułtan, padyszach, pan żyznych niw, han tysięcy, ojciec mój szablą zagiętą śmigał po karkach nieprzyjaciół, koń rączy podkowami srebrnymi deptał po trupach, na jego szatę przepyszną krew bryzgała, wszystkie na rękojeści kamienie w rubiny się zmieniły.

Patrzę dotąd na las z buńczuków w górze, ma morze z grzyw końskich pod spodem, na spisy i dżyrydy, lecące wskroś powietrza jak ogniste węże; na topazy, brylanty, szafiry, sypiące się na ziemię ze zbroi wojowników, ma strzały bijące w pióra hełmów i w mózgi pod hełmami, w złote hafty kolczug i w serca pod nimi. Dżarmida tłumy czarne, posępne — to stada kruków, bez blasków, jakie sieją ozdobne szaty. My wracali z łowów — on nas, dawny wróg nasz, obkoczył i na brodzie przysięgał, że ojcu z ramion świętą głowę zdejmie.

W obozie z śnieżnych namiotów, w okopach aloesami najeżonych, broniliśmy się w małej liczbie; nasze rotę blaskiem swoim raziły hufce Dżarmida, bo każde ostrze spisy, każda buława i bułat każdy nasz, nim piorunem spadł na wroga, wprzód błyskawicą świetności oczy mu oślepił.

Darmo — darmo! Zarazę nam przyniosły nie czesane Dżarmida tysiące; pot morowy sączył się z ich bród i włosów jak z pryszczów gadziny. Jęliśmy więc umierać w szańcach pod niebem prześlicznej pogody, dniem i nocą. — Matka, moja, perła Wschodu, ptak najśpiwniejszy w gajach Hadyru, pierwsza głowę schyliła na piersi i ucichła. Ojciec w bojach się ścierał i ja przy nim, aż straż jego pomarła i wróciwszy raz do namiotu, trupy oparte o sznury i słupy zastaliśmy, a oręż z sinych wymykał się dłoni.

Eblisa oddech wiał po całym obozie; nie widać, nie słycać Diwa, którego on przysłał na naszą zagubę, bo ten duch złego ciche ma kroki i lekkie palce jak mała dziewczyna; do kogo rączkę przytuli, ten czuje zrazu niby atłasu dotknięcie lub draśnienie piór rajskiego ptaka, a potem oczy mu wyskoczą na wierzch jak dwa ciemne topazy; krwią rzyga z ust i z nozdrzy, krwią własną się obleje i pada pośród jej fal kipiących. Prorok sam go już nie ocali!

Noc ciemna, hurysa moja! — patrz — noc ciemna — sto razy ciemniejsza od tego zmierzchu; ale nie mroźna, nie pochmurna, gwiazdy wokoło księżyca brzęczą jak pszczoły przy ulu. Zapach trupów miesza się z wonią kwiatów; bo kwiaty ma naszych polach, choć kopyta je stratuja i posoka je obczerni, jeszcze nie skąpią kadzideł.

Wrzaski Dżarmidowych grzmia w pobliżu jak skowyczenia szakałów; we mnie i ojcu wra zemsta i chęć Ostatniej rozprawy; w żołnierzach, niewolnikach naszych, serce drży z bojaźni, bo już w słabej stoją liczbie nad zwłokami przyjaciół. Ojciec duma wśród trupów pomarłych sułtanek, bo matkę tylko moją uczczono pogrzebem; na insze — nie mieliśmy czasu.

Płomień i dym, hurysa moja! płomień i dym, a płomień czerwony jak tysiące krwią zaszytych oczów, oderwanych od czaszek skupionych razem — a dym tak czarny jak Azraelowe skrzydło. Rzeź i jęki. — Śnieg namiotów topi się w ogniu, perzyna lata po niebie, sama nie wie gdzie, jak stado przelętych wróbli.

Biłem się jeszcze dzyrydem i szablą tej nocy, dopóki na spisie, przy pożarze, nie ujrzałem świętej głowy ojca. Schyliłem czoło i trzy krople krwi z niej spadły na moje włosy — ostatnie jego błogosławieństwo; przeszli wrogowie; nie postrzegali mnie; wszyscy moi zginęli i leżeli bez ducha. Zataczałem się po ich ciałach, może po ciele ojca, po ciele braci, ale nie wiem — szalał mózg pod turbanem w głowie, jakby po gęstych pucharach opium. Dwóch jeszcze zabiłem, uchodząc z pola, ćwiertowałem ich członki, wrywałem brody, aż wsiadłem na koń i puściłem się w stepy.

Hordy nasze, rozbite przez Dżarmida, już nie znają mnie. Tron mój runął; ale Allah strzeże królewskiego syna.

Hurysa moja, to szalbierz, Żyd, oszust — zawołał straszliwym głosem, wskazując w stronę, kędy leżało ciało Dymitra — we mnie płynnie krew przejrzysta, jestem potomkiem mocarzów Kiafelu — a ty piękną perłą, a ty konchą mojej nadziei na wzburzonych falach życia, hurysa moja!

Wdowa po dwóch Dymitrach wtedy, odelgnawszy od drzewa, spojrzała z wysoka na mówiącego.

— Idź przodem waszmość i potrzyмай konie! Wracamy do Kaługi, a podczas drogi oznajmiemy ci nasze rozkazy względem pogrzebu w. kniazia.

Uniesienie młodziana skrzepło pod tymi zimnymi słowy, a na twarzy rozciągnęła się niemoc, podobna do tej, którą każdy doznał, budząc się z marzeń na jaw rzeczywistości.

Lecz przemijającym było to osłabienie, bo jego dusza, wieczna zmienniczka, wszystkich namiętności i uczuć nierządnicą, na przemiany mdleć umiała i przychodzić do siebie. Teraz znowu w jego oczach igra płomień miłości nad iskrą zemsty tlejącą pod spodem; i pojrzawszy na Marynę, szedł, jako rozkazała.

Dumna pani zostawia za sobą zwłoki męża; ale na jej palcu błyszczą pierścienie po zabitym. Jego połysk ma być jej pochodnią ku tronowi carów. Piękną jednak była w tej chwili, choć tyle pychy czernieje się na jej czole — piękna świeżością jagód, splotami czarnych włosów, kołyszającymi się w cieniu kołpaka, piękna rumieńcem mroźnym, co się wśliznął na lica, wzrokiem, w którym wdzięk niewieści słodzi nieugiętość męża, wreszcie spadkiem ramion i ujęciem kibici, powagą całej postawy i nogą, której krok każdy głęboki ślad zostawia w towarzysza duszy.

Ale darmo w niej szukać dziewczyny o powiekach skorych do zniżań, o uśmiechu cukrowym na ustach, o piersiach pełnych westchnień i nieopisanych żądz. Młoda porzuciła matkę, a od tej chwili to siedziała na tronie, to na siodle rumaka. Jej ni motyl, ni pączek róży, ni błędne wieczorne dumania, ni błędne nocne trwogi na myśli, ale państwo i berło, a czasami syn niemowlę, bo jużci jest matką. Agaj-Han jechał z tyłu, przodem carowa.

||

Pośród nocy setne pochodnie biją w zamek carowej; potrzęsają nimi zbrojne ręce. Dziwne czerwone połyski biegną po hełmach i skrzydłach husarów, po kolczugach pancernych, po sajdakach Tatarów, czepiają się grzyw końskich i buńczuków kozackich, pieszczą się z bogatymi jelcami u szabel.

Lud ten cały na dziedzińcu krzyczy, to grozi, to woła i wita. Myślą, że białogłowe wrzaskiem zastraszą, o żołąd wołają, o nadgrody, o rzędy na konie, o zbroje na mężów, o skarbów rozdanie. Dobra pora: męża Dymitra zabili, sama została — niech nam więc sypnie z krużganka kamieńmi z mitry carów, niechaj samą koronę nam rzuci, my toporem posieczem twarde złoto na sztuki! Hej, pani! Hej, carowo! Hej, Dymitrowska żono, gospodarko nasza! a prędzej przybywaj, ukaż się nam i udaruj nas!

Zgiełk naokoło bram, zgiełk po dziedzińcu; tłoczą się ku drzwiom, ale tam mąż sam jeden stoi, a jego z tłumu żaden nie zaczepi; bo jemu z tego tłumu żaden nie sprosta.

On czasem potrząsa szyszakiem jak lew grzywą, a szyszak ma lekki, który dzielnemu cięciu się nie oprze; lecz za to u pasa wisi szabla, co każde cięcie odbije i za cios niedoszły razem śmiertelnym odda; bycze barki marszczą się nad kształtnym ciałem, nogi nieprosto się trzymają, jak zwykle u tych, co częściej na koniu biegną i śpią, niż chodzą i śpią na ziemi; jednak one potrafią i naprzód skoczyć, i w tył równie giętko się cofnąć; w otworzystych oczach znać, że i do surowych, i do namiętnych spojrzeń zdatne; pokrwawą teraz zaszły ich białka, czy to, że krew do nich bije, czy to, że w świetle pochodni pływają, a w zrzenicy pali się namiętność do boju i łupów i do wszystkiego, co rzuca człowiekiem po szlakach niebezpieczeństwa, u końca których śmierć go lub panowanie czeka. Lica osypane perzyną, spadła od promieni stepowego słońca, na czole dwie blizny, a nad ustami wąs się jeży gęsty, czarny, ulubiony od wojownika, zapuszczony w pierwszym jego obozie, głaskany pocałunkami dziewczyn, w dniu bitwy zakręcany z chlubą, postrach wrogów, uśmiechów wesela i uśmiechów wzgardy nieodstępny towarzysz.

Na piersiach bechter — i znać, że piersi niezwykajne takiej zbroi, bo czasem oddech ciężki z nich wyjdzie; one w kaftanie lub w koszulce stalowej narażać się lubią, nie dbając o życie, spotkawszy się z niebezpieczeństwem, tak jak kochanek, kiedy zejdzie się z kochanką. U pasa wisi młotek; nim rozbija rycerz pętlice na zbrojach obalonych wrogów, by nie psuć klingi swojej po drodze ku ich sercu.

Ciągle milczy i przy drzwiach gwałt całej tłuszczy na surowym spojrzeniu wytrzyma, a kiedy przystąpią, jednym znakiem dłoni, jednym wykrzyknikiem odrzuca ich od siebie.

Pośród wrzawy głos odezwał się z góry, podobny do przeciągłego gwizdu:

— Najjaśniejsza carowa ukaże się wam niedługo — czekajcie!

I młodzian o szarfię zielonej stał oparty na kracie krużganku; nie rzekł i słowa więcej, ale spojrzał na żołnierstwo z uśmiechem czy litości, czy goryczy, jakby urągając tłumowi. Może też i dawny zwyczaj przypomniał, kiedy wolno mu było z góry patrzeć na mnóstwa i pogardzać nimi.

— W szeregi się zewrzeć, zstępuje carowa! — zagrzmiął wojownik od progu, a na ten głos wnet krzyki ucichły wśród szczęku zbroi i stąpań spieszących na miejsca swoje.

Husarze, pancerni, Kozacy, Tatarzy w porządku stanęli na podwórku. Już światło pochodni nie łamie się wśród rozerwanych orszaków, ale po rzędach kirysów jednym długim płynie strumieniem od jednej bramy do drugiej i na ostrzach dzid zapala płomyki, które błyszczą szeregiem jak lampy w galerii.

Jazda porozrzucana na skrzydłach, niewzruszone i konie, i jeźdźcy, milcząca piechota, jedno szmer biegnie po rotach, podobny do szumu gałęzi, śniegiem obwisłych.

Młodzieniec znikł z krużganku i giermkim przed carową ukazał się u drzwi. Głębokim był pokłon, którym wódz uczcił schodzącą panią, ale też śmiałym spojrzenie, które na nią rzucił. W nim przebija ufność w własną siłę, obietnica obrony i nadzieja nadgrody, nie w łupach i żołdzie, nie w łaskach padających z wysoka, świetnie jak rosa, chłodno jak szron zimowy; ale w tych względach, którymi piękność osładza trudy walecznego — rozkoszy pucharem.

Maryna odpowiedziała także spojrzeniem, a więc mąż jął iść za nią, z ręką na szabli, strzegąc jej kroków jak ojciec, rozptywając się w jej widoku jak kochanek.

A carowa wyglądała tej nocy właśnie, jak trzeba na drażnienie męskiego serca; na licu płonie od namiętnego oczekiwania, na czarnych włosach złota mitra się wznosi, tak kształtnie rzucona, że i jednego pukla nie zasłania i jej blaskom żaden pukiel nie szkodzi; płaszcz odpada od ramion, za każdym krokiem zsuwa się bardziej, już ciągnie się po ziemi; ale za to ramiona błysnęły spod niego. Szata znad piersi gwałtownym biciem tych piersi odsunięta, rąbek jeszcze został biały, przejrzysty, słaba opona przeciw rozhużdanyim oczom. I włosy też z wolna spływają w dół na ramiona, na plecy. Och! kto na nią patrzy, tej nocy długie zachowa wspomnienie. Statku i urody tyle na tych licach, tyle hartu na czole, że marmurem wydaje się białym, a tyle ponęty, błagań, rozkazów na ustach, że zdają się liśćmi róży drżącymi w powiewie — raz je wiatr mocny rozrywa, znów cichy głaszcze i spokoii.

A jako na panią licznych ziem i grodów przystało, obziera szeregi rycerstwa; czasem też łza spłynie z powieki niby męża pamięć — to pamięć Kremlinu. Każdego wyniosłość zadziwi, płacz wzruszy. Pierścienie, rozwiązawszy się, lunęły deszczem czarnych włosów, który aż do stóp się spuścił; ona, je podjąwszy, pięć razy dłonią okręci i znów w czarne chmurki zepnie, które wiszą nad czołem; wreszcie zawoła w uniesieniu, odrzucając natrętne sploty od twarzy, przebiegając szeregi, to uśmiechem nęcąc, to wzrokiem z ognia burząc dusze, gdzieś sypiąc złoto i srebro:

— Nieszczęśliwej pomoc dajcie, waszmoście! Kiedy patrzę, ja biedna i nieboga, na tyle zbroi i oręża, jeszcze wzrasta we mnie serce, bo wiem, że Polak

odbieżyć nie umie. Prawą jestem szlachcianką polską, waszmoście, prawą carową waszą — i tu oglądała się na hufce Moskwy — ani wy siostry, ani wy pani swojej nie puściecie na śmiech u ludzi, na nędzę u świata! Wielki kniaź Dymitr legł pod żelazem zdrajców, ależ jam i syn mój zostali! On śpi w tych komnatach, niewinne dziecię, nie wie nic o losie ojca; uśmiechało się przed chwilą do matki, a ja mu obiecałam w duchu pomoc i tron należny. Nie odstąpię przeznaczeń boskich, które mi koronę na to czoło dały, by ją to czoło nosiło do grobu. A więc radźcie pomiędzy sobą, radźcie, waszmoście, o was samych, bo ja, choćby jeden giermek tylko przy mnie się opowiedział, z tym jednym jeszcze pójdę ku bramom Stolicy mojej!

Po tych słowach nagłym zwrotem ręki wyrwała szablę z pochwy Agaj-Hana i klingę obróciła ku piersiom; zda się przy pochodniach, że wąż ognisty wspina się do tego łona.

— Pomścijcie mnie, waszmoście! Zemsty, zemsty za panią waszą! Tam poćwiertowane ciało leży w borze, tu pani wasza, a na ostrzu tej szabli waży się jej życie; bo hańby i sromu krew moja nie znała nigdy, nie pozna i dzisiaj. — Ratunku, pomsty ja wołam po was!

I żelazo piersi dotknęło, i ręką mocno ścisła szablę, a nad tym obrazem śmierci na ustach w górze ulatuje uśmiech niewieści, uśmiech, jakim pierwsza niewiasta nęciła Adama.

Agaj-Hana twarz natężona, oczy wlepione w carową; nie chce stracić i jednego jej słowa, i jednego jej ruchu. Rozpływa się w milczącej rozkoszy ł wzrokiem ssie jej wdzięki jak pszczoła nachylona nad kielichem kwiatu; może mu się zdaje, iż ten obraz marzeniem, co się stawiło na rozkaz wyobraźni, więc niewzruszony, we wschodnim letargu duma i szaleje. Drugi mąż nie dotrzymał niecierpliwości swojej — porwał za pałasz i mignął dwa razy kręgiem naokoło hełmu.

— Mołodźcy! Hej, do mnie! Hej, do Zaruckiego! Ja przy carowej, a moi przy mnie!

To mówiąc, zbliża się do niej, wskazuje na szyki, co przybiegły, a oczy wyskoczyły mu na wierzch od namiętności, drży barkami, drży ramionami, już mu ramiona podnoszą się do piersi, zaokrąglają się pomimo woli, coraz bliżej jej kibici.

Uśmiech wdzięczności był mu zapłatą — on przestał na takowej teraz, a później inszej zażąda. Wraca Maryna pośród krzyków do zamku, huczy rycerstwo i wita ją swoją panią, potem rozbiegnie się po mieście. — Na dziedzińcu ciemność i milczenie, lecz tam po ulicach, lecz ówdzie po rynkach wrzaski i kłótnie,

smolne ognie i kagańców błyski.

Komnata Dymitra nieboszczyka lśni się bogatym sprzętem. Zastłony u łoża, firanki u okien, obicie po ścianach błyszczą haftami, w framugach wiszą bechtery i karaceny złotem nabijane, a z hełmów zlewają się pióra, to białe, to czerwone.

Pośrodku stoi Maryna z lampą w dłoni, z błędnym wzrokiem. Z rana dziś jeszcze porwał się z tej ciepłej pościeli kniaź i zatrąbił na łowy; tu przed łowami jeszcze pił do swoich Tatarów, aż rumiany od napoju, zataczając się, wyszedł tymi drzwiami; już nie wrócił — już nigdy nie wróci.

Zda się jeszcze wdowie, że widzi na srebrnolitej poduszce twarz o srogich i nadętych rysach, oczy pełne chuci i bezwstydu, że słyszy jak to ciało, rozmarzone po uczcie, przewraca się i pokoju znaleźć nie może, jako drze przez sen kosztowne nakrycia i futra lub pada na podłogę i jak nieżywe się toczy.

Wzdrygnęła się na to wspomnienie. Żalu zapewne żadnego nie czuje; obrzydzenie tylko, a jeśli jaki żal doń się miesza, to, że dwa silne ramiona odpadły od jej sprawy; może też przyszło jej do serca, że on był ojcem jej synaczka.

Waha się, niepewna, czy pójdzie dalej. Coś, zda się, ciągnie ją ku owym drzwiom na pół rozwartym obok łoża, za którymi schody blade kręcą się i giną w ciemności. To postąpi, to się cofnie, a kiedy się nie cofa, to się zatrzymuje, gdyby wryta — z oczyma wbitymi w te drzwi, w te schody, dysząca, z rzędem zimnych kropli na czole.

Ale w jej męskim sercu niedługa bojaźni przewaga, jakkolwiek ta bojaźń być może. Więc lampę dzierżąc przed się, weszła na schody i poszła nimi. Dziwne to przejście. Splotami węża wiją się stopnie, czasami w dół wracają, potem w górę się wspinają. Znać po kształcie muru, że się jest w okrągłej wieży — ale nigdzie okna, nigdzie strzelnicy — jedno grube ściany wszędzie, a czasami hak żelazny na promieniu lampy występuje z cienia, a schody wciąż środkiem idą, ledwo ścian się dotkną gdzieniegdzie, zresztą wiszą nad głębią czarną, z której dołu wychodzą szумы i głucho szelesty, niby to woda pieni się w bąbelkach i te bąble pryskają, niby to wiatr zakrada się pomiędzy ciasnoty i bije się z nimi.

Długo błąkała się carowa, ale to jej nie odstręcza; równym zawsze stąpa krokiem, trwoga z jej twarzy zniknęła, tylko została wola i ta ją dalej, coraz dalej, wyżej, coraz wyżej popycha. Błysnął zamek żelazny, błysnął łańcuch ze stali u stalowej kłódki: w murze czarnym drzwi się bielily — a od ich kamiennego progu most, rzucony aż do schodów, wisi nad przepaścią, bez poręczy, cienki, drżący od kroków carowej, choć dopiero doń się zbliża. — Cóż

dopiero, kiedy na nim stanie!

Pojrzała raz tylko w dół i na mostek weszła. Ani wprzód próbowała jego mocy, wysuwając nogę jedną, drugą na schodach trzymając, ani schyliła się, by ręką pociągnąć po nim, ale od razu weszła, nie oglądając się z tyłu, ku drzwiom jedynie dzierżąc oczy; deszczka ugina się pod jej stopami jak fala pod łódką, a jak pod falą jest otchłań, tak i tu dna nie masz!

Śnieżnymi palcami przebiera po łańcuchu, targa ogniwa — rdza została na palcach — nic więcej oderwać nie potrafi; a zatem dobyła spod szaty długiego sztyletu o błękitnych żyłach, o niezłomnym harcie. Kilka razy uderzyła i łańcuch się przerwał — zawisł jak długi na klamce — przypięła lampę do niego i obuma dłońmi bierze się do kłódki; a lampa, kołysząc się z wolna, kręgiem światła jej postać oblewa, lecz każdy promień, co się zapuści dalej, czy w dół, czy w górę, skonać musi wśród cienia; ona jest wyspą bladego światła wśród dwóch otchłani ciemności.

I kłódka nie dotrzymała ciosom sztyletu, bo i ostrzem, i rękojeścią tłukła w nią carowa; drzwi otwarte. Dlaczegoż nie wejdzie natychmiast? Dlaczegoż przynajmniej stopą nie uchwyci się progu? — Wszakże niebezpieczeństwo dokoła, wszak belka coraz gnie się bardziej — już jęczy, bo bliska pęknięcia! nie — ona stoi i patrzy w ciemną komnatę. Bliską celu znów słabość napadła — i nie śmie postąpić, jak ten, co doszedł krat cmentarza i od nich wraca się nazad. Potrzeba jej było skoku, by się wyrwać z zadumania czy trwogi. Rozczuchrana, z pomieszaniem na licu, drżąca, przymrużając oczy, wpadła do komnaty i podniósłszy lampę, rzuciła wzrok naokół spieszenie, błędnie; tym pierwszym wzrokiem nic nie zobaczyła. Dopiero po chwili zmysły odzyskała, a wtedy, kiedy spojrzała, wszystko zobaczyła — i ściany ubrane w pajęczyny, i strzelnic dwie, i sklepienie ostro pnące się w górę, ślady dymu po nim i piec żelazny, szerokie krzesło i stół dębowy z dwoma księgami, z krymką hebrajską, z guzami z rzemienia do hebrajskiej modlitwy. Pokój to skryty zabitego kniazia. Znać na kurzu podłogi stóp jego ślady, szata długa zarzucona w kącie, a na roztwartych księgach pismo niechrześcijańskie, ni greckie, ni łacińskie.

Lampa wypuszczona runęła na posadzkę — nie zagasta jednak, owszem, żywszy blask na wsze strony miecie — a piękna wojewodzianka sandomierska załamała ręce w gorzkiej rozpacz. Patrz na nią teraz, a ujrzysz nie dumną królowę, nie hardą panią, ale kobietę we łzach, marzącą o swojej młodości, o domu ojców, o szlachetnym rodzie, o polskich niwach, o pierwszej miłości — wśród niemych dowodów hańby i poniewierki.

Sprawdziły się poszepty ludzi, Agaj-Hana sprawdziły się słowa. O patrz na nią teraz, patrz, jako urodziwa w swojej boleści, jako te lica stateczne, rozmiękłe od płaczu, świeższymi się wydają. Wprzód były świetnym, ale suchym kwiatem;

rosa czułości go teraz oblała, płomień oczu mgłą się otoczył i z za tej mgły milej świeci, jak promień słońca z za wiośnianej chmury, tak lekkiej, że się nie godzi nazywać ją chmurą.

Powieki spuszczone, piersi dyszą smutno jak u dziewicy, która dotąd nie zaznała świata i z pierwszą boleścią spotkała się na świecie, ramiona opadły na dół z niemocy, ale nie wiszą jak nieżywe, dotąd w nich jest zaokrąglenie pełne wdzięku; na czole pochmurność, która na łzy stopić się nie może, na czole pozostała дума, ale ponizona, cierpiąca. Tysiąc wspomnień w tej chwili tłoczy się w serce, w serce niebogię Marii, słabej niewiasty, opuszczonej, zdradzonej, przelękłej: i wspomnienie pierwszego męża, dziarskiego, hojnego, któremu tak pięknie pasowała korona carów, i towarzyszek dzieciństwa, i sadów ojcowskich, gdzie owoców i murawy siła — i kaplicy z grobami Mniszchów, gdzie dzwony tak smętne, gdzie modlitwa tak powabna za dusze przodków i szczęście rodziców; aż tu znów wali się przepych Kremlinu i ślub z błogosławieństwem króla polskiego, i dary bogate, i tłumy bojarów niewolników, i wesele, i pierwsza noc wesela z oblubieńcem młodym, walecznym, panem rozległej krainy; a potem — spiski i mordy. Ach! to nic jeszcze — więzienie i wygnanie — ach! to nic jeszcze — ale drugi ślub — drugi mąż. — Ach! to wspomnienie serce jej rozniosło na ostrzu swoim. I znów spoziera na Biblię i Talmud, na krymkę i szatę czarną; zadrżały kolana, usuwają się ku ziemi, rękę wyciąga, jak gdyby wzywała pomocy, mdło, mdło w piersiach nieszczęśliwej, już pada — wtem ją z tyłu ręka zatrzyma i śmiech szydarczy wróci do życia pychy i gniewu.

— Hurysa moja, a wszak moje słowa nie kłamliwe jak rosa, co błyszczy z rana — w południe szukaj, a nie znajdziesz jej kropel. Ha! niewierny tu przesiadywał, modlił się pies, a ty jego żoną, ciebie w ramionach trzymał, twoje usta brudził swoimi. Hurysa moja — nie taki, nie taki mąż przystoił tobie!

Łez już nie było na jej twarzy ni rozrzewnienia w duszy — ale choć obrażona, choć chciałyby karcić młodzieńca, nie może w tej komnacie rozkazywać. Tu służalec, tu giermek jej przewagę wziął nad nią, bo zastał kobietę tam, gdzie trza było jej, by zastał carowę. Więc milczy i w powagę się stroi, czuje bowiem jeszcze wilgoć po licach i ostatek słabości w sercu. Chwili jeszcze jej trzeba, nim całkiem weźmie górę nad wzruszeniem.

Agaj-Han podniósł lampę i wprost ją trzymał naprzeciw pani; pałają mu oczy żywiej od lampy, na rysach migają uczucia, jak obrączka światła nad pianą potoku; klął Azjanin i obie ręce w krzyż złożywszy na piersiach, zawołał, zaśpiewał raczej:

— Sułtanko moja, tulipanie piękności, żaglu biały na lazurowym jeziorze mej duszy, o rajski ptaku mój, niech zrzenicy twej piorun nie pada na mnie! Kroków twoich strzec chciałem w tej pustej wieży, a zarazem jako goniec przybyłem.

Hetman kozacki, Igor Sahajdaczny Zarucki, twoim rozkazom się stawił — czeka w sali zamkowej na ciebie jako na wschód słońca.

Tu uśmiech szyderczy utkwił mu na ustach i dodał z przeraźliwym krzykiem:

— Szablę ojcowską uniosłem z pożaru i rzezi, a szabla to krzywa, do cięcia i do rąbania, z ostrzem bez miłosierdzia, z klingą bez skazy; piętnaście strzał noszę w kołczanie, a każda ma skrzydła, a każda ma żądło, którym ssać krew lubi. Dżyryd też w puściźnie mi został lekki, płytki, z pancerza i piersi pod pancerzem szyderca, a do tego i handzar u minie, zimny jak wąż, śmiertelny jak wąż, ale bez dzwonków, i jak wąż ostrzegać nie raczy. Huryso, czy dosyć na jednego wroga? A teraz powtórzmy: hetman kozacki, Igor Sahajdaczny Zarucki, czeka na swoją panią.

Maryna nie odpowiedziała i słowa; nie wiedzieć skąd, ale przyszło do tego, że giermek zmusił ją do milczenia. W jego ruchach, w głosie, w odwadze pełnej urągania się, w zapale dziecinny, w marzeniach wschodnich było coś urocznego — może i ten urok padł na carowę; nie, żeby dopuścić go miała bliżej siebie, jedno znosi jego mowy i szał, jak gdyby upodobała sobie w jego dziwaczności. Kiedy zeszła do zamkowej sali, musiał Agaj-Han ustąpić — wyszedł, Zaruckiego żegnając wzrokiem tygrysa. Tajemną została na zawsze owej nocy rozmowa. Hetman wyszedł o brzasku, a poznał giermek na jego palcu pierścień, jeden z setnych pierścieni carowej.



Dzień mroźny z słońcem, które we dwójnasób się iskrzy, z śniegiem, co trzeszczy pod zbrojnymi stopy i wewnątrz, i zewnątrz zamku. Moskwa zamek obiegła, nie uznaje carowej i wrzeszczy o Władysławie polskim, to o Szujskim, Moskalu, a huczy i burzą wali się nai mury. Dwa działa przed bramą strzelają w bramę, w żelazne rygle i zawiasy, lecz mało dba o nie brama, jedno zadrzy czasem, a potem znów, niewzruszona nad głębokim rowem, tuli do piersi most zwodzony, jak olbrzym małego pacholęcia.

A kiedy działa grmią, strzały w milczeniu przelatują powietrze; kiedy działa umilkną, na nowo zaczynają świstać strzały, a wciąż dwie chmury ich, jedna naprzeciwko drugiej leci, ta z ulic Kaługi, tamta z murów zamku i z obu gęsta śmierć i rany się sypią.

A zamek dokoła obwiedzion basztami i wałem, u czterech rogów cztery wieże; z tych najwyższa w głębi podwórca, otoczona galeriami, schody, z gotyckimi i wschodnimi ozdoby, na pół twierdzą, na pół minaretem się wydaje, bo naokoło ścian, jak w kościele, wydłutowane świętych postacie i krzyże, i róże, tu i ówdzie znów palmy i półksiężycy, dalej krużganki z filarami do zażywania

chłodu w lecie, a między nimi rozrzucone baszty, skąd długo bronić się można, a gdzieś występuje przedsionek, na którym sterczą głazy, beczki smolne, przeznaczone głowom oblężyców; sam zaś wierzchołek haftem ze strzelnic obrabiony. Lud wieżę tę „mongolską” nazywa. Na krużganku najwyższego piętra siedzi niewiasta, otoczona kilkoma dworzanami. Rysów jej nie znać w odległości, jedno połysk bije od kosztownej szaty.

Na murach, gdzie najsroższa walka, gdzie wre niebezpieczeństwo, tam widać męża, który uśmiechem rozkoszy go wita. Stąpa jakby w biesiadniczej sali — nie raczył pancerzem piersi zasłonić — na kołpaku blacha bardziej świeci jak ozdoba, niż służy za obronę, ale ile razy skoczy lub podbieży, sajdak mu zadzwoni na barkach; z niego czasem wyjmuje strzały i puszcza łukiem — one celu nigdy nie chybią.

Wszyscy pytają się go o rozkazy, on potrzebą zawiaduje jak gdyby festynem, urządza rotę, owych posyła dalej, tamtych woła do siebie z twarzą pogodną, z otworzystymi oczyma.

Jak ryba pluskająca w wodzie, w swoim żywiole, w własnej, kochanej, przezroczystej wodzie, tak on wśród krwi płąsa, wąsów pokręcając, podnosząc czoła, witając z uniesieniem wystrzał każdego, każdy podlot dymu w górę, dowodząc i słowem, i przykładem, zachodząc wszędzie drogę śmierci i zmuszając ją do odwrotu, bo tam, gdzie on się ukaże, wnet rozbite nieprzyjaciół hufce od drabin, od baszt spadają w rów, aż woda kipi od spadających ciał.

Tak dnia tego wództwo sprawował Igor Sahajdaczny Zarucki; czasami spogląda też ku wieży, ku pani swojej, pierś nadyma, oczy wyszczerza, zda się na chwilę, iż zapomniał o hukach, co grzmiały wokoło, o walce, której sam jest częścią — ale to trwa przez mgnienie oka, przez jedno bicie serca, potem znowu poruczonej pilnuje obrony. — Młodźcy ochoczo go słuchają; wielu już ich padło, ale reszta nie zważa na braci poległych — o pogrzebie pomyśla, kiedy walka minie.

Bitwa cały dzień trwała, a ku wieczorowi pomnożona Moskwa górę brać zaczęła; uśmiechał się jeszcze Sahajdaczny, nie już w radości, ale w goryczy męża, który na darmo roztrwoniał swe siły, który dzielnie się potykał, a nic nie zyskał, który długo jeszcze bronić się może, ale wie, że w końcu ulegnie. Kołpaki, brody, spisy, buńczuki tańczą pod murami zamku, skacząc do nich, działa rażą ciągłym ogniem — młodźcom głodno, cały dzień nie jedli, nie pili; młodźcom słabo, cały dzień walczyli, a trupów bratnich więcej leży na basztach niż braci żyjących przechadza się po nich.

Wtem wśród bitwy ukazał się młodzian o czarnym hełmie, z półksiężycem na szczycie, podobnym do półksiężyca niebios zachodzącego w smutku nad cyplem skały, o tak lekkiej zbroi, że się gięła za każdym poruszeniem, iż

nieledwo znać na niej muszkuły ramion spod spodu, o krzywej szabli, która tłucze o zbroję z dźwiękiem srebrnego dzwonu. Bieży po murach, a kiedy trupy gdzie spotka, na palcach po nich przechodzi, jakby się lękał obuwia krwią zmazać, i skacze z zręcznością wiewiórki po łukach, dzidach, hełmach, rozsypanych tu i ówdzie. Tyle wdzięku w jego podskokach, że do tańca podobne, bo raz w pędzie ślizga się po baszcie, to znów stąpa jak dziewczyna, a kiedy gdzie ciasne przejście, waży obie ręce i ciało w tę i w ową stronę nagina i zdaje się lubo przysłuchiwać się chrzęstowi własnej kolczugi. Doszedł do Zaruckiego, który stał wśród trupów jak król wśród poddanych i obcierał pałasz z moskiewskiej posoki, by mu wrócić błyskawicę.

— Ej! Igorze Sahajdaczny Zarucki — zawołał — pani moja i twa, Maryna, carowa, każe, byś się do ostatniego potykał. Dobrze ona widzi z swojej mongolskiej wieży, iż wam na ludziach zbywa, ale się spodziewa, iż na męstwie nie zbędzie.

— Giermku — odparł Zarucki, brwi marszcząc i rękę podnosząc do wąsa — próżny twój trud i próżne twe słowa. Bez nich jużem znał moją powinność i miałem jej dopełnić; wracaj więc, dziecię, chłopię, skądś przybył, bo twój szyszak, kirys i szabelka na nic nam się nie zdadzą tu; tam na zabawę pani twojej zdać się na coś mogą.

Nie odpowiedział i słowa Agaj-Han, ale świdrem poszły mu oczy; porwał za łuk, nacisnął i strzałę puścił na nieprzyjaciół; warknęła struna, gdyby od palców olbrzyma, a pocisk przebił piersi jednemu z wodzów Moskwy. Pojrzał wtedy młodzian na hetmana wzrokiem zwycięzcy i oddalił się, już nie skokami, ale poważnym stąpaniem.

Kto by był patrzył na Zaruckiego wtedy, uniósłby się ku niemu zapałem; coraz rzadszym otoczony żołnierzem, coraz dzielniej bronił okopów; wszędzie był, gdzie go trzeba było — zagrzewał i łajał — zachęcał i podchlebiał. Choć zwątpił o zwycięstwie, zdawał się pewnym zwycięstwa. Z pogardą spozierał na tłumy garnące się ku zamkowi — ni pomieszania, ni wątpliwości nie odkryje żaden w jego rysach. — Ciągłe twarz spokojna, zdobna rumieńcem walki, oczy ognia pełne, ręka skora w prawo i w lewo uderzyć, zastawić się z przodu i z tyłu; to strzałę posyła dalekim wrogom, to szablą wita bliższych siebie, a kiedy gdzie stanie, a kiedy gdzie postawi nogę, zda się, że ta noga w kamień muru się wryła, bo stoi niewzruszenie, bo sam jeden przeciw kilku walczy i pozbywa się ich w miarę, jak nadchodzą po drabinach, bo karkiem przenosząc i swoich, i tamtych, i na chwilę czoła nie zniży, potu nie obciera — niechaj sobie płynie; krwi nie obciera — niechaj sama zasklepi moje rany; a rany nieciężkie, jedna na piersiach, druga na lewym ramieniu, zbroję mu farbują. Boleść z nich drażni jego męstwo i do każdego ciosu miecza ciężar zemsty przydawa. — Na próżno! Bramy już wybite; po trupach swoich Moskwa rowy przeskoczy i na podwórzec

się dostanie. Dziaki wrzask, szalony gwar, szczęki i łoskot; nieprzyjaciele walą ku podwojom carowej.

Poznał Sahajdaczny, iż zaniku nie obroni.

— Rozsypcie się! — woła na młodźców swoich. — Gdzie który może, niech ucieka, a jutro o białej zorzy bądźcie mi na koniach, przy broni, w Gorczakowym lesie!

Wnet z około męża znikli towarzysze; w mroku czernieją ich ciała schylone, zawieszające się u strzelnic, czołgające po naturach, aż wreszcie przepadną, to za okopem, to za stosem trupów, to za rowem, to wśród nieuważnych wrogów, każde w innej stronie.

Zarucki sam jeden pozostał na murze. Przez chwilę spozierał na zabita starszyznę wokoło bez żalu, bez litości, wzrokiem, jakim się na powszedni chleb patrzy; potem pobiegł przez baszty i zakręty ku wieży, bo tam wołało go coś mocniejszego od powinności żołnierza.

Krótką, ale trudną była droga. Sam ją odbywał, bo wiedział, iż jedno tym sposobem ujdzie bacznosci wrogów. Walczyć musi co chwila z trupami, rozrywać ich gęstwiny, by łatwiej przejść było, zrzucić je na dziedzińce, na głowy wrogom, którzy tam krzyczą i hasają z pochodniami, szukając wdowy po Samozwańcze, tu i ówdzie przeskakiwać przerwy od kul wyłamane, zataczać się po odłamkach pancierzów, hełmów i szabel; lecz im więcej przeszkód, tym srożej wre mu w piersiach chęć dostania się do wieży. Ciągnie go do jej szczytu siła niepojęta, która wszystko insze z mózgu ruguje; jeden tylko tam obraz pani urodziwej zawiesza i kołysze na falach krwi do czoła bijącej.

Doszedł piętra równego z murem w tej samej chwili, kiedy Moskwa wybijała bramę dolną pod spodem. Ramieniem uchwycił się galerii nad głową, odparł mur stopami, zawisł chwilę w powietrzu, na jednej dłoni dźwigając ciężar i zbroi, i ciała, drugi raz podskoczył i stanął na schodach. — Biegł potem na górę, tak jak zwykle biegał na koniu po stepie. Biegł, a czasami odwracał głowę, aż tu z okien zamkowych połyski pochodni tańczą na wsze strony, przez szyby znać to oręż, to kołpaki; na dziedzińcach u dołu czarna tłuszcza to pcha się ku wieży, to odstępkuje jak potok odparty skałą, a wracający do szturm na skałę, kagańce gasną, to znów się zapalają, iskry od nich sypią się na ziemię, dym bucha w powietrze, a niebo iskrzy się gwiazdami, a księżyc jak bryła lodu wschodzi nad dalekim borem.

Dopał ostatniego piętra, kiedy już kroki zbrojnych głucho rozlegały się po wieży, dochodząc od dołu, co chwila podnosząc się w górę. Tam w komnacie, strzelnicami za dnia, a teraz jedną lampą oświetlonej, siedziała carowa z berłem

w ręku, z koroną na głowie. Dworzanie ją odbiegli. Dwie służebne panny, Polki, i jeden tylko Agaj-Han przy niej — w tej stanowczej gadzinie.

Z szablą dobytą, z obnażonym czołem, krwią oblany, Sahajdaczny rzucił się przed oblicze pani i wskazał znakiem, iż wszystko stracone, ale zarazem wzrok jego zapalił się ogniem, jak gdyby gońcem był zwycięstwa, bohaterem wygranej.

— Toż waszmość nie taki wypadek z bitwy zwykłeś dawniej donosić wielkiemu kniaziowi, ale wdowie wolno, jako słabej niemściwej białogłowie. Broń mnie waszmość, dopóki kroplę krwi masz w żyłach, lub jeśli bronić mnie odpadła cię już ochota, pożycz szabli i bierz naukę, jako polska szlachcianka walczyć za swe prawa umie!

Wypił ten puchar goryczy Zarucki z stałością męża przeświadczonego, że powinności dopełnił; nic więc nie odpowiedział, ale zastawił drzwi ciałem i rękę wyciągnął wśród ciemności nad schodami, czekając pierwszego, co się nawinie, ostrzem swojego pałasza. Śmiech szydery rozległ się z tyłu, a on wwiercił mu się głębiej w dumę niż słowa Maryny, bo to był śmiech dziecka, śmiech Agaj-Hana. Tymczasem turkoty i hałasy się powiększają od spodu wieży, słychać następnie, jako schody jęczą pod stopami zbrojnych, jako rygle, zawiasy, podwoje pękają pod młotami, pod toporem; coraz wyżej nad ziemią, coraz bliżej do nich. Szukali carowej po zamku całym; nie znaleźli — więc idą ku ostatniemu jej schronieniu, a z zewnątrz szum tysiąca głosów przebija mury i przylatuje konać u stóp Maryny; potem, kiedy coraz bliższy, już nie kona, ale każdą wpadając strzelnicą, hasa w komnacie, o sklepienie się przedłuża, odbija.

Była to chwila milczenia, w której u każdego serce drży, dreszcz biega po ciele, niepewność, co trapiła przez dzień cały, zamienia się w konanie, które męczy piersi, oddech przerywa, coraz mocniej, coraz mocniej ściska za gardło, a słabe mózgi wszelkiej myśli pozbawia. Kto w takiej chwili zachowa przytomność i odwagę, kto jeszcze zdoła szablę trzymać, jak zazwyczaj, bez omdlewań bojaźni w palcach, bez dławień rozpaczy wokoło rękojeści, kto ni oczów nie przymruży dla uniknięcia widoku, ani ich wyrzuci na wierzch jak szalony, by patrzeć bez zmysłów, ten jest mężem okrom wątpliwości. Takowym ukazał się Igor Zarucki. Z nogą naprzód podaną, z wyprostowanym ciałem, z pewnością, że pierwszego i drugiego zabije, z pewnością, że potem sam legnie, a może i z ufnością w zwykłe szczęście, z pałaszem w dłoni, jakby pałasz i dłoń jedną kością były, z lekką paizą w lewej ręce stał w podwojach, zasłaniając komnatę całą, i zdawało się po jego wzroku wyniosłym, wyzywającym niebezpieczeństwo z cienia, że w sercu żołnierskim ta chwila jeszcze rozkoszą była. Na licach Maryny zaczyna się słabość niewieścia przebijać. Jej towarzyszki, klęcząc, wzywają Boga w pół otwartymi ustami, z których żaden głos nie wychodzi. Szczęśliwe, jeśli jeszcze jaka myśl dotąd żyje w ich duszy. Agaj-Han dobył szabli

i handżaru, potrząsa księżycem na głowie, to spojrzysz na panią, to na Igora i wahać się zdaje.

Jakieś straszne myśli krążą mu po mózgu, bo na rysach wystąpiły zewsząd zmarszczki wokół ust, od skroni, na jagodach; w pełni padają jego spojrzenia na carowę, z ukosa na Zaruckiego, z uwagą śledzi połysk sztyletu zatkniętego u łona Maryny, z uwagą pilnuje, iżali Sahajdaczny nie odwróci głowy — a tu coraz bliżej huki i gwary, i wrzaski; podobno jeszcze jedne drzwi do wybicia, a potem tłuszcza wrogów zwali się do komnaty.

Już biją o tych drzwi podwoje, słysząc, jak piła wgrzyza się w belki, jak topór kowadli o rygle; w podwojach znać już dziury wyłukli, bo kagańcowe połyski już biegną po ścianach, jeszcze słabe, jeszcze błędzące, ale coraz żywsze, coraz pełniejsze.

Śnieg bojaźni zwarzył róże na licach Maryny. Ostatkiem dumy wiedziona, powstać chciała; nie powstała — na krześle opadła, schyliła czoło, korona runęła na posadzkę i tocząc się, pobiegła ku drzwiom, minęła Igora, na schody zbiegła, i pędem z stopnia na stopień zlatując, brzmi głucho, jak kamień, co spada ze skały.

Cichaczem zaśmiał się Agaj-Han i raz jeszcze miłosny wzrok rzucił na carowę, piękną w swojej niedoli; potem skoczył gdyby dzikie zwierzę, z handżarem wyżej głowy, w równi z półksiężycem na hełmie, i stamtąd go spuścił na kark Zaruckiemu. Nie wiedzieć, jak poszło żelazo, czy głębią, czy płazem, ale Sahajdaczny upadł na ziemię, jęk tylko jeden wydawszy; jeśli ich więcej wydał, utonęły we wrzaskach następującej Moskwy, która po ciele mu przeszła. —

Tymczasem giermek złożył pocałunek na skroniach zemdlałej Maryny i stanąwszy przed nią, zawołał: „Macie, czego szukacie — bierzcie i prowadźcie!” — ale w tej chwili dziecinne miał rysy i w oczach dwie łzy dziecinne.

Jemu nic się nie stało — ni go w powrozy spętano, ni tknięto żelazem; ale Marynę bez zmysłów, jakby senną dziewicę, porwali i znowu potokiem zeszli na schody, niosąc ją w zdobyczy, zlali się na dziedzińce. Czuwał nad nią Agaj-Han, czuwał, jako dziecko czuwać może, westchnieniem i płaczem, stąpając za nieprzyjaciółmi.

Kiedy oddaliła się ta burza, kiedy już ni szczęku broni, ni świateł pochodni nie było w pustej komnacie, o jednym tylko przed wejściem leżącym ciele, krwią oblanym — ono ciało zaczęło jakby z letargu się budzić, palcami słabo ruszać, rozmazując krew własną na podłodze, nogi wyciągać, to mocniej oddychać, jakby dla zrzućcia ciężaru z piersi, to się podnosić, aż znów opadłszy, przez chwilę jako martwe leżało.

Walka to była między życiem wracającym a śmiercią nieskorą do ustąpienia, walka długa, bolesna, odbyta pośród ciszy, (targająca każdą żyłą rannego. — Kiedy wreszcie młodość i siły przemogły, oparł się na łokciu i spojrzał naokoło; już krew nie płynie, znać, że handżar nie dopełnił zlecenia Agaj-Hanowej ręki, a że przywykły do omdlewań z zadanych razów, nawykł i budzić się po nich, powstał natychmiast, z troskliwością ojca o dziecię szukał szabli i podjął z ziemi, potem uszy natężył i dalekim szumom pospólstwa się przysłuchiwał.

Żal jakiś przyćmił mu czoło, ale nie trwał długo. Postąpił ku oknu i słabą kratę wyrwawszy, spojrzał w dół — na dziedzińcu pod nim i pusto, i głucho, na dalszych huczno i płoną pochodnie. Nie namyślał się długo, nie raczył ręką sięgnąć do rany, bo czuł, że nie śmiertelna, ani się też wahał, jako zwykle czynią ludzie, stojąc nad przepaścią, ale wdarł się na okno, dobrze znajomy wieży, zaczął spuszczać się po niej, obuma ramionami trzymając się gzympsów, krat, ozdób, filarów, poręczy, nim nogami natrafił na jaką posadę, a wtedy jej chwyta się rękoma, inszej, zawieszony wśród ciemności, szuka w dole stopami. Tę gdy znajdzie, o całe ciało niżej zstępuje, bez trwogi, bez zawrotu głowy, pewny śmierci jeśli o cal chybi, urągając się z niej, bo wie, że o cal nie chybi, bo tak wczesnego zgonu nie dozwoli mu Bóg, gdyż stepy go jeszcze potrzebują i koń żartki rzy za nim, i braci młodźców tysiące czeka na niego, i w ramieniu czuje jeszcze sił dosyć na zdobycie państwa, a w sercu miłość ku urodziwej pani.

IV

Świat słyszał o ludziach, nad którymi zapadł kamień grobowy więzienia — którzy zrazu płakali i jęczyli, później do jarzma przywykli, słońca żałować zapomnieli i zasnęli snem myśli na resztę dni swoich, budząc się czasem, by ugryźć kawałek chleba, by wodą popić go mętą i potem znów wpaść w letarg pośród milczenia i ciemności, zaprzyjaźnwszy ucho z brzękiem własnych łańcuchów, tak, że przy nich im zasypiać tak dobrze jak przy szmerze strumieni, jak przy szumie borów, jak przy pieśniach mamki dawniej.

Ale oni już, znużeni trudami życia, dostali się pod czarne sklepienie; nieraz krew z ran im płynęła, nieraz duszę przygniotły frasunki. Mieli może wstąpić do klasztoru, kiedy ich wróg wtrącił do więzienia. Tam na pościel ze słomy padli, a ciężar przeszłości gniecie ich w piersi tak, że wstać już się odechciało. Nadzieje i zamiary umarły w ich duszy, a ten oddech chrapliwy, co się nad ustami unosi, jedynym śladem jest życia długo trwonionego na polach bitew, w radnych kołach, w samotnych komnatach, gdzie się sami męczyli z swoimi przedsięwzięciami, które stawały wtenczas przed nimi, jako duch Cezara przed

dumającym Brutusem. Lecz dziś oni pragną tylko ciszy i snu, a zatem sen i ciszę mają.

Lecz młodej, hożej nad hożymi, cóż wspólnego z kratą u okien, z hakami w ścianach, z kajdanami wiszącymi u drzwi, z nudą i pustynią więzienia? Głowa obnażona z korony, ledwo szubę zostawili, by zakryć się od zimna, już na palcu pierścień carski nie błyszczy, dzięki im jeszcze, że obrączek żelaznych na dłoń nie wkręcili. W pośmiewisko obok na stole berło drewniane położyli; ni katolickiej książki do modlitwy nie dali, ni towarzyszkę żadnej nie przypuścili do boku; zamknęli w długiej, ciasnej izbie po złoczyńcach i Tatarach. Rzędem na ścianie znać kółka, do których przykuci doczekali się zgonu; wokoło znać ślady ich paznokci, ich palców, które w szaleństwie, długie lata pracując, wydrążyły dołeczki na jedną kroplę wilgoci, na schowanie dla jednego pająka. U dołu na kamieniach bieleje kilka czaszek, z których każda siedzi sobie wśród grona kości osypanych prochami. Kątem ostrym wdąże się u góry sklepienie, przynajmniej tak się domyślać, bo w połowie ścian poczyna się ciemność i ta zakrywa resztę lochu.

Jedno tylko okno strzelnicą wykute w murze; kraty w nim tak gęste jak druty w przyłbicy rycerza, a promienie słońca, które się odważą przejść za nią, bledną i niedługo pobywwszy, cofają się nazad.

Wieczorem strażnik wchodzi, lampę zateleje, jadło przynosi — i naszydziwszy się do woli, odstępuje. Zaczynała teraz roziskrzać się lampa wisząca na łańcuchu, jeszcze nie ustał w niej ruch, kołysała się, ale coraz wolniej, co raz płonąc mocniej, za słaba na oświatę lochu, w pełni jednak świecąca nad twarzą Maryny.

Nie zgasły oczy, nie zwiędło czoło, jedno w oczach i na czole znać boleść, nie tę jednak, co odbiera hart duszy, ale ową, co myśli natężenie podwaja, podobną w umyśle do tej, która w ranach ciała gorączkę odwagi zapala i ramię krwią zbryzgane zaciętszym na karki nieprzyjaciół czyni. Bo też w Marynie nie patrzeć szlochów i niewieściej słabości — większego domiaru nieszczęść trza na duszę tak hardą, by pękła pod nimi.

Łagodne, dziecinne uczucia, które nie odstępują nigdy białychgłów i w dojrzałym Wieku, mało miejsca zajmują w niej. Tkliwość matki jedno czasami się ożywa; o niemowlęciu swoim marzyła długo w samotnej wieży; ale nad obraz jego kolebki obraz tronu carów się wznosi, opuszczona kolebka u stóp jego się kołysze, a on tak wysoka, że ledwo już jej dojrzeć można. Jednak nad wszystkie przeszłości i przyszłości obrazy jeden ponętniejszy umiłał jej tęskność więzienia. Młodzieniec to hoży, w skromnej sukni, klęczy u stóp jej w ogrodzie ojcowskim; wieczór się zbliża, gaje i sady mruczą od powiewu letniego, naokół widok na niziny i zielone wzgórza, ona zapłoniona, bo jeszcze z niej

młodziuchne dziewczę — rękę mu puszcza między ręce, nachyla się ku niemu, sama nie wiedząc dlaczego, łzy rozczulenia kapią z jej ocz na włosy młodziana. Pacholę to, nie znane nikomu, na dworze pana sandomierskiego się chowa, mało mówi, zda się marzyć o tajemnicach, zda się często ku przyszłości ciskać ogniste spojrzenia, jakby ta przyszłość miała być inakszą jemu niż ludziom, z którymi przestaje; z męstwa słynie na ławach, z dowcipu i uprzejmości doma; a córę wojewody ukochało i tak czarownie pierwsze słowa miłości do niej wyrzekło, że ona od matki i pań ucieka, w głąb sadów pośród zarośli idzie za przewodnikiem i nad klęczącym nachyla się w czułości i nabożeństwie. A on, kiedy uczuł bliskie jej tchnienie, zarzucił ramiona na szyję i usta wlepiając w usta, przycisnął do piersi. Zawstydzona, oburzona, chce się wyrwać i przeklinać jego, ale on jej krzyki uciszył, łzy wstydu zatrzymał jednym słowem, od nikogo wprzód nie słyszany: „Ja carować będę.”

Te pierwsze chwile miłości, wracając do jej pamięci, wonią niw polskich ją teraz owiały; i jagody rozmiękły od żalu za pierwszym Dymitrem. Tysiąc zamiarów, nadziei, zwątpień krąży po umyśle; liczy bitwy, których konieczność, nim do Moskwy się dostanie; ani raczyła wspomnieć i swoich, i swojego rycerstwa. Nie na to mocarze bliżsi Boga, by pamiętali o niższych ludziach; a im dalej było jej kiedyś do tronu, tym szerzej jego przywilejów chce użyć i władzy. Niedaleko i Rożyński ksiązę, d Sapieha uświacki z pancernymi rotą; oni zbiegną jej na pomoc, bojarów powalą na ziemię, by padli na twarz przed prawą carową; nie wątpić, że i Sahajdaczny już gromadzi swoich naokoło miasta — ale gdzież on zniknął tej nocy, w której słabość niewiasty przemogła nad statkiem królowej? Czyżby jego słowo i jego spojrzenia zarówno kłamały? Dostojny to mąż, urodziwej postawy, wąs dziarsko opędził mu usta; w godzinie niebezpieczeństwa widziałam go nieraz i pamiętam rysy jego, kraśne odwagą — żaden z polskich rycerzy ni z moskiewskich bojarów nie zrówna jemu w dzielności. Głębokie on nosi piersi pod zbroją, a w nich dosyć miejsca na państwo całe; ubiór jego strojny zawždy i rycerski, połysk jego pętlic lata mi teraz przed oczyma — i rękojeść wytworna u bułatu — i na bechterze rysunki ze stali, gdyby hafty panieńskie z jedwabiu.

Tu znów myśli inszyrn udały się szlakiem, posępniejszym, bardziej męczącym: o rusztowaniu — o truciźnie — o sztylcie; przecucia zaczęły jak mary chodzić po jej duszy, aż dopóki późna godzina nie uśpiła oczów. Duszy całkiem uśpić nie mogła. Patrz na leżącą na twardym łożu, prętami żelaznymi podbitym! Licha pościel i brudne wezgłowie, obok piec żelazny, w Którym dogorywają rude popioły. Twarz jej tylko i pierś oświecona, reszta kibici zanurzona w cieniu, jako i całe więzienie, oprócz kilku kroków przed lampą i kilku kroków za lampą.

Do takietjże to łożnicy przyszła córka Mniszcha z Wielkich Kończyć, wojewody sandomierskiego, lwowskiego, samborskiego, medenickiego starosty, carowa moskiewska!

Od wielu dni nie trefione włosy spływają aż na posadzkę, to w tył odrzucone snują się na poduszce w cichej swawoli, to u skroni zawisły, to zbiegły do szyi, to dalej jeszcze czarne zagony zapuściły aż na piersi, a teraz leżą niewzruszone, tak jak każdy splot i pukiel ułożył się w chwili, kiedy zasnęła. Spośród owych ciemnych ram lica jej wypukłe przebijają, bardziej jeszcze bladymi się wydając; na ustach krąży ciągle niby pół westchnienia, niby oddech żałosny, ale tak słaby, tak nieznaczny, iż chyba go kochanek zrozumie. Powieki z rąbkiem długich rzęsów zasunęły się nad oczyma, jedno zadrgną czasem; na licu znać sen, ależ zarazem znać, iż coś z nim walczy w głębi ducha. Tak śpi oblubienica przed zamęciem, matka przy kolebce słabego dziecięcia. Tak spała Kalpurnia dniem przed śmiercią Cezara.

Późno już w noc zdało się jej, iż wpadła w sen o dźwiękach harfy czy gitary, czy strun jakichkolwiek i o śpiewie znanego głosu. Skądże spośród tylu ponurych marzeń przyszło jej niespodzianie marzyć o muzyce i pieśniach? A One tony nie brzmią posępnie, nie zwiastują ni pogrzebu, ni bitwy, owszem, melodyjnie płyną wokoło, a co dziwniejszego, ona każdy z nich gdyby na jawie rozeznąć potrafi.

I coraz pełniej jej uszy nabrzmiewają owymi dźwiękami; oczu dotąd nie otworzyła, ale myśli jaśniej krążą już po mózgu, choć im jeszcze brakuje związku, choć to jeszcze gwiazdy, błyszczące mgnieniem oka, a gasnące bez powrotu.

Leżałaby długo w tym zawieszeniu między snem a życiem, zdjęta rozkoszą cichego zachwycenia, gdyby dźwięki wciąż równie słodkie, równie harmonijne były; lecz wzniósł się spośród nich ton jeden głośniejszy, ostrzejszy, w niezgodzie z towarzyszami, podobny do krzyku, który, konając, na jęk się przemienia.

Wzdrygnęła się, podniosła się nagle, a teraz dopiero wydało się jej, że snem zdjęta i na to, co zobaczyła, jako na sen patrzy.

Blaskiem złotym i błękitnawym goreje komnata — pierwszy raz jej sklepienie całkiem otrząsnęło się z cienia. Wśród tego dżdżu jasności stoi młodzian z hełmem i lampą na hełmie, z której buchający płomień starczy na całą przestrzeń więzienia; w dłoniach trzyma naczynie rażącego poloru, z strunami i kulkami, laseczką po nich przegrywa, czasem o boki naczynia uderzy, a wtedy słyhać jakby rozdzierające stękanie. Ubiór dziwaczny składnie leży mu na ciele; kaftan to wschodni, zielony, posypany srebrnym ziarnem, pas z tyftyku i szarfa takoważ, kindżał sadzony kamieniami, a nad tym wszystkim suknia szeroka, przejrzysta, niby muślin, niby mgła, tak jasna jak wyziewy przy słońcu, w rozmaitych fałdach osuwająca się na dół, pełznąca w górę, kształtnie wisząca u ramion, rozsuwająca się nad piersiami, jedno że i greckiej togi, i kastylskiego płaszczka, i tureckiej delii wszystkie łączy powagi i wdzięki. Przysłuchuje się,

przypatruje się Maryna — owóż on tak jej przyśpiewywał:

— Gdzie niewolniki moje? Już nie stąpam po posadzce z ich karków. Gdzie hufce, którym kiedyś mówiłem: „Zaćmijcie słońce, bo ono mnie pala!” — a wnet z tysiąca kołczanów podnosiła się chmura i lecąc jak szarańcza, przestaniała słońce? Walają się ich kości na Kiafelu błoniach.

Daleko mi do mojej krainy, matki kwiatów i kadzidlanych drzew; daleko do nadbrzeżów osnutych konchami, zarosłych koralem; do piaszczystego morza, na którym żagle moim bywał namiot biały, tratwą grzbiet wielbłądki, a łódką siodło rumaka; do miast, gdzie minaretów wieże, równe w liczbie sosnom waszych borów, błyszczą wiecznie, jako wasze sosny wtenczas, kiedy je zachód oblewa; do nieba o krzyżujących się meteorach nad głowami ludzi, jak u was krzyżują się chmury; o burzach, którym przywodzą geniusze na Simumu wirach, potopem błyskawic zalewając powietrze, piramidami ze żwiru najeżając pustynię.

Już mi nawet język rodzinny, język mój cudowny, w którym Allah upodobał sobie, omdlewa w pamięci. Gruba niewiernych mowa osaczyła me uszy dokoła sieciami. Zapomniałem wzdychać serdecznie do proroka, w jednym słowie zamykać zapał duszy; krótsze u was oddechy, ani starczą wam płuca na uczczenie Boga, nie umiecie się wyrwać ku Niemu. My to, my to zdołamy marzyć o Nim i o raju długo, świętym natchnieniem przejęci; a wtedy nie miałki ni krótkie słowa z ust nam wychodzą, ale przedłużone, pełne pożądliwości ku tym drzewom nieśmiertelnym i niewyczerpanym fontanom, obiecanych po zgonie. — Matka mi umarła, czasu na łzy nie było — ojciec poległ, nie płakałem, lecz przysiągłem zemstę; z szacha spadłem na giermka — nie żaliłem się dotąd nikomu — ale teraz, kiedy zapominam mojej mowy, płaczę, płaczę, hurysa moja! Czuję co dzień więcej słów zagubionych na zawsze. Ich wspomnienie trapi jak mara kochanki dalekiej, której nie ujrzę już nigdy, której twarz mgłą mi zachodzi, a którą kocham jeszcze.

Wieczorem, kiedy zasypiam, krążą jeszcze po moim mózgu; rankiem, kiedy się budzę, już odbiegły od pamięci mojej. Walczę, jak mogę, nie chcąc myśleć po cudzemu, a wasza mowa wdziera się do mej głowy, wypycha ostatki dawnej, podchwytuje każdą myśl i ubiera w swoje barwy, śmiejąc się z moich żalów i oporu. Jedne po drugich mrą drogie pamiątki; jakaś tam przepaść jest, co czyha pod moim mózgiem; w nią wyraz po wyrazie zlatuje, strącony od waszych twardych, nieużytych, zawziętych. To męka — to rozpacz — płaczę, płaczę, hurysa moja!

I tu uderzył o naczynie. — Maryna nie zdołała wstrzymać się od krzyku.

— Zniosę to jednak dla ciebie — bądź mi łaskawą, a niechaj przepadnie język

moich ojców we mnie! Bądź mi łaskawą, a stanę się polskim rycerzem lub moskiewskim bojarem — do woli twojej! Kochaj Agaj-Hana, rzuć mu półksiężyc pod stopy, a on, depcąc, przejdzie po nim; kochaj Agaj-Hana, a on ci drzwi lochu postawi otworem!

Po tych słowach nagle zagała lampa szyszaku — ciemność większą część więzienia zagarnie. Raz jeszcze zabrzmiały struny, ale przypadkiem, nienaumyślnie; potem nic już się nie odezwie; ni stąpań, ni oddechu nie słychać, jedno kroki po schodach wieży gdzieś daleko ślizgają, a podwoje nie skrzypnęły ni rygle zabrzękły.

Maryna wątpi o sobie, wreszcie poznała, że na jawie — o czarach coś jej na myśl przyszło i piersi ścierpły od przemijającego dreszczu.

Tak co noc bywa. Kiedy zaśnie, budzi ją pieśń Agaj-Hana; wtedy więzienie pełne światła i dźwięków; on do niej przemaiwia jak kochanek — ona mu jako pani odpowiada — potem gaśnie światło, mdleją dźwięki. Strażnicy, znać, śpią głęboko, kiedy on między nimi tak cało przejść potrafi.

A rozmaite jego śpiewy bywają — to o zemście napomyka:

— Nie spodziewaj się, by ten, który dumny był z sajdaku na plecach, uwolnił ciebie; pierwej nim tu dostąpić, z grobu wstać mu trzeba. Tyś zapadła w sen, podobny Azraelowemu, ale mój kindżał wtedy się obudził i cały w uśmiechach radości z pochwy zabłysnął; poznałem, iż cierpi pragnienie, iż krwi mu trzeba, bo tak nasze handzary, jak nasze wielbłądy — długo wytrzymałe, ale kiedy miara cierpliwości przebrana, i wielbłąd, i handżar domaga się napoju. Jeśli go nie dasz, pierwszy zdechnie w szaleństwie, drugi zardzewieje i na zawsze się przytępi. Nie chciałem ja tego, więcem go napoił w strudze czerwonej, która wytrysnęła ze zbroi wroga, jak źródło niegdyś za Mousy uderzeniem — nikt już nie stanie między mną a hurysą moją!

Marynie się wierzyć nie chce, by tak dziarski mąż zginął od ręki pacholęcia.

— A czemuś nie patrzała? Czyż moja wina, że w tej chwili perła rozumu roztopiła się w tobie, że gwiazdy twoich ócz zagały? Ha! ciepła krew była w nim — aż mi ścierpłe ożywiła dłonie.

To czasem znów o dziwacznych baje powieściach:

— Patrz, jakem potężny i wielki — przede mną schylają głowę strażnicy i nie podnoszą jej, aż ranek zabrząsknie. Letarg jest moim niewolnikiem i gdzie go posyłam, tam idzie; żelazne rygle usuwają się pod moimi palcami jak pierścienie włosianego naramiennika, więzienie anielskimi wystroiłem ci blaski. Ja sam, jak duch z piątego nieba, zstąpiłem do ciebie. Tajemnice ojców

dochowały się w moich piersiach. Żyjący niechaj mnie się lękają, bo i nad umarłymi rozciąga się moja władza! Z złotymi gwiazdami i z czarnymi chmurami mam przyjaźń i spółkowanie.

A kiedy spostrzega niepewność lub drżenie na twarzy carowej, sądzi, iż chwila nadeszła w serce jej ostatni raz uderzyć.

— Huryszo moja, kiedy senną cię zastaję, lubię wbijać się wzrokiem w twoje lica. I długo stoję przy tobie, dopóki cię struny moje nie obudzą. Lecz mi żywszej trza rozkoszy, to początkiem pieśni dopiero I Czyi jej końca nie doczekam się nigdy? Rzeknij ono jedno słowo: kocham, a wnet stąd wyprowadzę cię! Zawiodę na rozległe pola Kiafelu — tam już cynamon wonieje nad mogiłami, tam już migdały zielenią się znowu i kwiaty wyrosły z popiołu, tak że motyl siada na nich i nie domyśli się wśród gęstwiny tego, co leży pod spodem.

Na to carowa gdy milczy z pogardą, on gaśnie w ciemności i oddala się po cichu.

V

Ciemno po tych korytarzach, ciemno po tych lochach, którymi młode pacholę wiedzie niewiastę o poważnym licu. Światło kagańca, wrzącego w jego dłoni, skacze do murów, zlatuje w dół i rozbija się, czasem też poigra z pajęczyną lub wystąpi jak czerwona kresa między ciemnymi pasmami; a ciągle cień dwóch osób przesuwają się po ścianach, gnie się we dwoje na zakrętach, płaszczy się dalej i zawsze postępuje, czarny, olbrzymi, zawsze ten sam, bo ręce niewiasty pod płaszczem zakryte, bo ramiona pacholęcia równo się trzymają.

Jego twarz pochylona, jakby czuł, że ulega po walce, że zgnębiony na zawsze. Jej oczy płoną, duma we dwójnasób jeży się na czole — nikt by na chwilę nie zwątpił, że ona królową.

— Agaj-Hanie! azaż oddałeś list uświackiemu staroście?

— Oddałem — głos odpowiedział zważony, jak zwykle bywają głosy po silnym wzruszeniu.

— Agaj-Hanie, izaliż pewno czekają mnie u drzwi?

— Czekają. — To słowo jedno tylko, ale wymówione jakby konającymi piersiami.

— Dobrze — wiedz nas waszmość dalej, a kiedy sprawisz się wiernie i dobrze,

na naszej łasce polegaj.

Odwrócił się giermek i pojrzał na carowę, wymawiając jej wzrokiem, że tak szydzi z niego: „Czyż nie dosyć, żeś podbiła mnie na służalca, żeś mnie dzieckiem swej woli uczyniła? — o nie mów o łasce!”

Pół uśmiechu zawisło jej nad ustami — i znakiem ręki, by szedł dalej, oznajmiła.

Jak może najciszej, ślizga po bruku, ażeby zbroja nie zachrząsała, sztylet lub pałasz nie zadzwonił o zbroję — bo z zewnątrz dochodzą często głosy zaspanych strażników i hasło, które sobie odrzucają nawzajem; niekiedy w przelocie wstąpi poza mury i cichaczem zaszepta w uszy Marynie — wtedy lekkie znać wzruszenie na jej twarzy, a na Agaj-Hanie inny to wywiera wpływ; podnosi trochę czoła, bo czuje, że w tej chwili jest jedynym jej obrońcą, i rozumie przeto, iż ma wyższość nad nią.

Ale ona nie daje mu się ukrzepiać w zarozumiałości — jednym słowem, jednym skinieniem umie dumę jego na proch zetrzeć. Znać, iż tyle przewagi nabrała, iż on już nigdy nie zdoła przemawiać po dawnemu. — Drżą mu ramiona i piersi, jak członki zdeptanej gadziny, w której jeszcze pozostało dość życia na czołganie się wieczne, nie dość mocy na jeden podrzut, na jedno ukąszenie.

I wiódł ją z wiernością domowego zwierza przez rozmaite galerie i schody, jemu tylko znajome. To nie rozwiązana tajemnicą, jakim sposobem zapoznał się z nimi, jakim trafem dostawał się do więzienia Maryny. Wtenczas, kiedy w mglistej szacie śpiewał o Kiafelu błoniach, coś wyższego przebijało w nim, niby godność strąconego księcia, niby władza potężnego czarownika; na chwilę w całej okazałości swoich marzeń łądził się nadzieją zwycięstwa; ale dziś wrócił do ubioru, do obyczaju giermka. Znać, że jego duszy zabrakło sił na zwalczenie tej, którą kochał, że z uniesieniem miłości rzucił się do przedsięwzięcia, w którym spotkał się z nieużytą dumą. Ta go pokonała, a kiedy uczuł się pod wpływem wyższej siły, zamilkł w głębokim podziwieniu i posłuszeństwie. Odtąd musiał dopełniać zlecenia pani, a dziś bez nadziei, bez pociechy, jedno wiedziony, urokiem, któremu oprzeć się nie może, wyprowadza ją z niewoli, poniżony, osłabły, czasem jeszcze spozierający na nią, nie już jako rycerz lub kochanek, ale jako dziecię na pół przerażone, na pół zachwycone widokiem meteoru przelatującego o północy ponad domem ojca.

Wzbudziłyby litość każdego — bo namiętność wyssała mu z twarzy barwę świeżości — bo w oczach zrzenice podobne do tych iskier, co ścigają jedne za drugimi w szarych popiołach, kiedy już węgle szczeniały pod nimi; kroki niepewne, jak u pijanego, który nie tyle zaślepiony, by upadł i zasnął, ale tak słaby, że statecznie nogi postawić nie potrafi. Młodość i siła pożegnały jego ciało, został się z mdłościami starca w piersiach, z wyrazem przerażenia na licu;

stracił pychę, która żar pamiętek rozdmuchiwała w nim. Postaw mu teraz przed oczyma zwierciadło: Synu sułtański, dziedzicu równin Kiafelu, podnieś oczy! — a on czoła nie podźwignie i weń spojrzeć się nie ośmieli.

Stąpa ciągle przed carową: iskry kagańca sypią mu się na rękę, on ich otrząsnąć nie raczy. Zaduch wilgoci i zgnilizny wokoło, tu i ówdzie odrywają się od ścian wyziewy i ciągną nad głowami przechodzących jak fałdy całunu. One są zwiastunkami wiosny w tych lochach.

Giermek zstąpił w dół, a za nim pani; potem szli oboje płaszczyzną, a słychać w górze, jako dyszy woda w rowach, jako czasami zakipi, rozgrzana od pleśni, i w tysiąc bąbelków się rozprysnie. Teraz znów wstępują schodami. Dostali się do sali z nieforemnych gładów. Tu już woń świeżego powietrza zalatuje, a brama dębowa okuta w rygle i trzema opatrzona zamkami.

Agaj-Han dopalającą się pochodnię utkwił w ziemię, a sam ukląkł przed carową i załamując dłonie, nic nie mówił, lecz zebrał milczeniem o litości trochę, o jedno spojrzenie, o jedno słowo pociechy, by mu nie tak okropnym było oddać ją w ręce młodźców, dopełnić tak ogromnej z siebie ofiary, bo jeszcze teraz on z nią sam na sam. Za tą bramą ona poddanych spotka i już z wysoka nad nim panować będzie.

Ale Maryna, stojąc na progu zbawienia, niczym odwlec go nie chciała.

— Gdzie klucz waszmość podziąłeś? Rozkazujemy waszmości jak najrychlej się sprawiać, uwalniając jak na teraz od tych dowodów uszanowania.

Znalazł się na takowe słowa głos w piersiach młodzieńca. Na kolanach czołgając się ku niej, zawołał:

— Miłościwa pani, gospodarko moja, nie tłocz mnie tak niewdzięcznie ku ziemi, wspomnij na moje usługi! Dla ciebie strzałą przeleciałem od Kaługi aż pod wieże Moskwy. Dla ciebie ja, księżę, uginałem karku przed Rożyńskim i Sapiehą. Oni tobie nie chcieli pomóc. Ja cię z więzienia wyprowadzam teraz.

— Nużysz mi umysł waszmość takowymi słowy. Uzyskasz nagrodę, tylo otwórz prędeej!

Błyskawica nie ma skrzydeł dość żartkich na wyścignienie połysku, który zalał oczy giermka i zagasł w jednejże chwili. To słowo „nagroda” całą duszę mu wzburzyło — ale po twarzy Maryny poznał, iż nie o tej, której żądał, napomina, więc wschodnim obyczajem, gwoli większemu uszanowaniu, ramiona założył na piersiach i schylił niżej głowę.

— Lata mi w pamięci, miłościwa sułtanko, iż raz widziałem cię u biesiady wśród

bojarów, przy początku jesieni, wtedy, kiedy słońce wasze jest prawnukiem naszego, kiedy owady zasypiają naprzód udaną, potem prawdziwą śmiercią. Tego dnia z złotego stropu spadł na śnieg obrusu motyl przed pucharem twoim, o sułtanko moja! Raczyłaś go podjąć; on miał zwinięte skrzydła i skrzące ciało pozbawione blasku. Tyś, miłując się nad nim, do ust go przytuliła, oddechem obwiała, głosem nęciła, by ożył: „Powstań, powstań, o motylu mój!” — Jemu się zdało, że piękne dni lata już z powrotem, że gdzieś dostał się do róży i do słowika; więc się obudził i trzepocąc skrzydełkami, podlatywał naokoło, a tyś rzucała za nim diamentami spojrzeń. Zważ sama: owadowi miłosierna, nad człowiekiem mieć nie chcesz litości! Nie proszę o więcej jak o względy świadczone onej drobnej musze.

— Waszmości w pamięci motyl, a z pamięci wypadło, żeśmy otoczeni wrogami i że Igor Zarucki czeka na mnie za tymi bramy, jakieś sam mi o tym wiadomość przyniósł w ostatnim liście.

Nagła zmiana nastąpiła w postawie Agaj-Hana; sama wydała się carowa — i on uwierzył natychmiast. W szczęście trudniejsza wiara, ale w nieszczęście któż z synów ziemi nie uwierzy? A zatem Sahajdaczny unikł śmierci!

— Ha! pamiętam, raz tylko uderzyłem — za słabo! Oszukali mnie — sam byłem posłem od niej do niego; chociażem jego nigdy nie widział, ale asawułów, młodźców, towarzyszków jego. Nie wspominałem nigdy o nim i oni też nie wspomnieli i razu, ale on kierował wszystkim!

Złość dziecka i zemsta szalona wschodniej, gorejącej duszy odbiła się na licach Agaj-Hana. Parsknął pianą z ust i kilka kropel krwi z nozdrzy mu bryzgnęło. Porwał się z ziemi, ale nie mógł się prosto trzymać; to zgarbiony, to truchlejący, to o ścianę oparty, to nogę wysunie i założy na drugą — to znów ma przyklęknąć, to znów podrzutem odskoczy od bruku.

— Miałem cię w więzieniu, niewdzięczna, a szanowałem cię jakby matkę moją! Nie mogłem zbliżyć się i ręką ślizgać po twej sennej piersi, rozpiąć cichaczem zawoje szat twoich [i błąkać się pośród wdzięków twoich]; a nasyciwszy wzrok, z zawrotem głowy rzucić się na ciebie? Budząc się, poczułabyś pierścienie potężnego węża okręcone wokół kibici. Wgryzłbym się gwałtem w twe usta, oddechem przepaliłbym ci gardło, pocałunkami podziurawił lica, włosów twych gęstwinę zarzucił na siebie [pod tą zasłoną czarną nogi splótłbym z twoimi nogami, pierś wgniół w twoje łono ze śniegu, dopóki bym nie uczył na własnej skórze bicie serca twego]. Ha! co chwila cisnę cię mocniej. Zwycięzam. Tyś moja. Tyś moja. [Rozciąga się miękkie ciało pode mną, jego dreszcz miesza się z moim.] Każda żyła twa bije w zgodzie z każdą żyłą moją, palce, co twarz mi kaleczyły, teraz już w obłąkaniu igrają z moimi włosy. — Ha! nie masz rajy równego w niebie takiemu na ziemi!

A teraz gdzie wdzięczność, gdzie nagroda? — Sahajdaczny tam. — Perłę miałem ze skarbu Allacha i, nieuważny, puściłem ją w morze! Przeklęty, przeklęty — o już nigdy, nigdy, nigdy noc taka nie wróci!

I w jego oczach paliła się rozkosz wspomnień i chuć niewstrzymana; potem nastąpiło osłabienie — zamilkł i patrzy wokoło jak ten, co pamięć, rozum, nadzieję postradał i wyszedł na zwierzę.

— Nie — ty marzysz. Hej! do więzienia nazad!

I schylił się po kaganiec, chciał go podnieść — on, już dopalający się, rozlał się strumieniem smoły po jego dłoni i gęstymi obsypał ją iskry.

Krzyknął z bólu nieszczęśliwy i padł na kolana, i znów wyciągał rękę czarną, spaloną — może sądził, iż łatwiej litości dostąpi. Węgłe żarzą się ma ziemi, przy nich znać jeszcze Marynę stojącą wśród cienia; jak duch więzień, srogi, nieubłagany, wskazała ku bramie w pełni majestatu swego. Do tego rozkazu pół uśmiechu dodała, jakby z miłosierdzia nad Agaj-Hanem. On poszedł z wolna ku drzwiom i klucz trzymając w lewej dłoni, prawą chowając pod kaftan, czekał na panią, od której uzyskał, co żądał, bo w tej chwili nie miał sił już na żądanie więcej.

Carowa śpiesznie, przy ostatnich iskrach pochodni, sama bramę otworzyła.

Księżyc za wiosennym obłokiem, lecz gotuje się do wyrznięcia. Sosnowe krzaki tu i ówdzie, z tyłu podnosi się opuszczona wieża i długi mur, i rów głęboki, z przepaskami to grubszego, to cieńszego cienia. Dalej pali się Kaługa w nocy rzadkimi światłami; z przodu równina; a wszystko, co na równinie, to śpi w zmierzchu i tego rozeznac nie sposób; juźci tam drzewa podobno, juźci z boku to smugi, śniegiem jeszcze przyprószone, ówdzie zda się, że bór czernieje, ówdzie marzy się przed oczyma dzwonnica klasztoru. Za pierwszym spojrzeniem taka postać okolicy; wlep oczy, a nic nie rozeznasz, zwątpisz o każdym szczególe; to nie drzewa, to nie klasztor; nie — to nie bór tam się rozciąga. Takie same wrażenie sprawia na duszy sen, którego w połowie się zapomniało, a w drugiej połowie niejasno się pamięta.

Agaj-Han ręką zdrową dobył kindżału — i oddalił się w bok, gdzieś przypadł w rowie.

Z krzaków powstałi męże, z najbliższego wyskoczył rycerz w zbroi i ledwo krok postąpił naprzód, już schylił głowę przed Maryną. Aliści nie takim przywitaniem tylko, znać, że pragnąby ją pozdrowić; nie wiedzieć, co go wstrzymało — może towarzysze, którzy rzędem za nim stanęli.

Rozmawiał po cichu z nią; w poruszeniach jego przebija radość namiętna; ona

— nie spuściła nic z głosu ni z obyczaju pani. Po chwili przywieśli młodźcy dwa konie; poddał jej ramię mąż, ona strzemię chwyta.

W tej chwili krzyk przeraźliwy, nieludzki, podobny mieszaninie z wilczych skowyczeń i nocnego ptasiego pisku, przeleciał powietrze, wnet po nim zawarczył kindżał i utkwił w pancerz męża, pełnią księżycą oblany. Znać, iż długą drogą znużony, głęboko wwiercić się nie zdołał. Sahajdaczny go bowiem strącił na ziemię ze zbroi jakby pająka lub pszczołę, w milczeniu, z uśmiechem pogardy.

Nie odstępując zdumionej carowej, gwizdnał na młodźców — oni się rozbiegli, ale nim doskoczą rowu, już bieży po smugach człowiek, który w cieniu murów się oddalił i dopiero wyszedł na czyste, kiedy go już dognać nie sposób, bo ich daleko ma za sobą i co chwila susami ranionego jelenia jeszcze dalej odsądza się od nich.

Więc jęli z powrotem do wodza; wódz wskoczył na siodło Huzdę carowej obwiązał naokoło ramienia i puścił się z nią stepowym lotem.

Biegną, biegną przy księżycu, wiosenną nocą, nie po bitej drodze ni po gładkiej ścieżce, ale między parowy, doły i chrusty; czasami kłęb śniegu rozbijają podkopy, a on z dołu w górę lunie białym tumanem; czasami o głąz uderzą, a głąz ogniem się odgraża, szybę lodu trąca, a lód pęknie z trzaskiem, gdyby szklanna szyba. Teraz przelatują łąkę, w młodą murawę grzęzną kopyta, a wilgoć kipi i smokcze pod spodem; dalej zgnieciona gałąź zaszeleści, kamyczki, odskakując, głucho zapadają w trawę; to znów szurują po roli, głębokie ślady po grzędach wydrążają, rozplaszczone bryły spychają w bruzdy. Zaruckiemu i od biegu, i od namiętności serce gwałtem bije. Marynie chłodne powietrze rumieniec po licach rozlało. Teraz obszar tych płaszczyn jest jej więzieniem, księżyc wśród błękitów jej lampą. Rada i pełna otuchy, słowami drażni towarzysza, mówi mu o Kremlinie — o bitwach i sławie; a jemu tyło tego słuchać, bo on za nic waży trudy, byleby dorwał się panowania i chwały, a przed śmiercią snu krótkiego w objęciach Maryny.

Do lasu wpadli, przesadzają zasieki z powikłanych krzewów. Ciemność i uroczystość boru dreszczem przejęła Marynę, ale Sahajdaczny raduje się, że się dostał pod dęby i sosny — miło mu pomiędzy nimi, jakby w domu ojca. Lecą pod sklepieniem z liści, między którymi tu i ówdzie czołga się promień księżycy — a wiatr szumi głosem tysięcy gałęzi niezrozumiale, choć co chwila zda się, iż z tego zamętu pewniejsze wydobędą się tony, na które czeka przez długie godziny młodzieniec zakochany lub pielgrzym dumający o Bogu — na które i chwili nie czekał Sahajdaczny, bo zrozumiał natychmiast tę mowę.

— To wiatr z północy tak hasa, miłościwa pani — on na jutro napędzi chmury,

więc gońmy co żywo do spławu i czajek, by pogodną jeszcze nocą odbyć żeglugę!

I jedwabnym kańczugiem konia uderzył. Ten wyskoczy, co tylko sił mu staje, a Maryny koń, porwany ramieniem męża, równie pędzi szybko. Znow na pole czyste się dobyli, powietrze, zda się, kipi około ich głów, tak głowami i piersią siekają powietrze, ogony ich z tyłu płyną jak ślad pianisty od rudla, kiedy statek pruje wodę wśród burzy, podkowy podnoszą się i zniżają bez ustanku jak iskry, co raz błysną, znow zagasną i znowu zabłyszczą; oni pędzą naprzód — drzewa, wzgórze, krzaki, krzyże pędzą wzd, świat cały naprzeciw nich wali, a rozstępuje się, by przejście wolne im zostawić. Jeden księżyc tylko niewzruszony panuje nad nimi z wysoka, ależ i on czasami znudzi się pokojem, więc sam się zerwie i bieży ku chmurom, przerzuca się z jednej w drugą, swawoli jak znarowione dziecko, to znow poważniejszą postać przybiera, zasepia się wśród mgły i jakby w ciężkim zadumaniu niknie coraz bardziej; wtedy posępno na świecie dokoła.

A oni bieżą, czy chmury, czy jasność nad głową. Wkrótce się rozwidni i zmrok podziwiewa się nie wiedzieć gdzie, tak jak promienie podziwiewały się przed chwilą. Ale cóż to zabłysło w oddali? Zda się gdyby kopuła cerkwi, blachą obita.

— Miłościwa pani, to Prątwa; już na niej nikt nam nie zajrzy w oczy, bystrym nurtem oddzielim się od Kaługi, a jeśli w pogoń za nami do brzegu przybędą, my z czajek zasmiejem się im w oczy i życzyć będziem dobrej nocy strzałami.

Ledwo domówił tych słów, ściągnął cugle i zatrzymał konia. Przechylony, z głową i pół ciałem wiszącym od siodła, zdał się słuchać czegoś, potem zagwizdał na konia, ostrogą i kańczugiem popchnął w bieg i rzekł zimno, jako na męża dostatniego przystoi, kiedy godzina niebezpieczeństwa dobija nad głową:

— To mściwe pacholę pobudziło straż zamku i bojary tuż za nami w lesie.

— Nie słyszałam żadnego tętentu, a jużem przywyknęła ucho do wszelkich głosów, i do tych, których lękać, i do tych, z których weselić się trzeba. Waszmość się pomyliłaś.

— Nie, miłościwa carowo, nie, hoża Maryno! Na pierzach wiatru przyleciały do mnie szelesty, które są gońcami tętentów. Lecz ażeby je schwycić, kiedy drobne cichaczem przelatują wokoło uszów, trza wprzódy przez całą młodość przysłuchiwać się nieprzyjacielskim podkowom. Dostatniemi się do rzeki, nim oni ukażą się z boru? Jeślim się nie oszukał na kupnie moim w Krymie, tośmy bezpieczni — odparł, spozierając z dumą kozacką na biegnące rumaki — ale, miłościwa gospodarko, ostatnia to ich gonitwa. Dolecą rzeki, bo wiedzą, iż taka

ma wola, wdzięczne za owies i napój, za bogaty rząd, którym zawsze ich grzbiet stroiłem i głowy. Dalej i kroku nie postąpią, rozciągną się na żwirze. — Na czajkach, miłościwa pani, spuszczałem się Dnieprem i Wołgą, i Dniestrem, sułtan z seraju mnie widział i klął mnie, że mu tak wsie palił, rozwalał pałace. Na moskiewskiej wojnie wzrosłem za króla Stefana i pięć ran w upominek od niej noszę na piersi. W Niemczech z rycerzami, posągami z żelaza, rwałem się za pasy, wiecem napatrzył się dosyć mordy — nad człowiekiem nigdy łzy nie wylałem na polu bitwy, a te konie że zdechną, to minie boli. Sam ich hodowałem, uczyłem napaści, odwrotu, ucieczki — w dzień i w nocy latałem na nich po stepach, one były moimi orlimi skrzydłami.

Tętenty się odezwały. Marynie mowę przecięły; ale też już im niedaleko. Jeszcze staj kilka i zatoka wylanej Pratwy tuż przed nimi. Już rozeznac mogą jej nadbrzeża.

Rzeka na wiosnę wystąpiła z brzegów i łoże swoje rozprzestrzenia jeziorami — nie dojrzeć przeciwnych nadbrzeżów, tylko tu i ówdzie z łona wód wystaje krzak, drzewo, głaz, język żwiru, który nie dał się pochłonać, smug, co wysoką trawą jeszcze na świat wyziera — to wszystko mgłą obwiane, cieniem lasów, po tej stronie rosnących, kratkowane, wydaje się błędnym archipelagiem. Pośrodku słyhać szum, ale nie dojrzeć nurtów pędzącego koryta, które bieży jak zwykle, gnuśniejac tylko po bokach, kędy się pomknęło za swoje granice.

W zatoce, u której stanął hetman z carową, księżyc w pełni się przegładając srebrnym ogonem udaje kometę, a że gęstwiny nie ma w tym miejscu, swobodnie rozsyła promienie, które pośród koła z wyziewów wszere i wzdłuż oświecają wody; na nich stoją łódki, każda na wyspie własnego cienia, niewzruszona, z śpiącymi wiosłami, z łańcuchem od kotwicy spuszczone w dół.

Było coś fantastycznego w tym widoku przypominającym morze we śnie widziane, w flocie milczącej, bez żywego ducha — w tętentach grzmiących coraz bardziej, w larwach biegnących od lasu na rozhuzdanych rumakach.

Jeźdźcy i konie czarne, czasem tylko broń zamignie jak śniady płomień, co wśród nocy krząta się po mogile; podnieś oczy w górę, a księżyc jasny, okazały, wyda ci się mało co mniej od słońca; spuść je w dół, a równina i topiele, i drzewa mieszają się z sobą, nie rozpoznasz, gdzie się wody kończą, a piasku początek, gdzie krzaki przepadają, a czyste zaczyna się pole, jak gdyby gwiazda nocy była marą, na którą spojrzeć pięknie, dopóki w niebiesiech, ale z której mało pociechy na ziemi.

Zarucki gwizdnął jak strzelec na sokoła w chmurach; wnet z każdej łódki podniosły się dwie postacie, w milczeniu porwały za wiosła, a że biją nimi o

wodę, to nie przerwało milczenia, bo tak cicho fale odpychają, że ni ciosu wiosła, ni jejku fali odpływającej nie słyhać. Snują się statki ku brzegowi, srebrnymi kręgami się obtaczając, ruszając wiosłami jak orzeł skrzydłami, kiedy zawisnie w powietrzu, a miesiąc, który patrzy na nich spod toni, ciągle odsadza się od nich, jak nurek od łódki strzelca na stawie.

Pierwsza czajka wodza dotknęła się lądu, wszystkie inne długim rzędem w poprzek zatoki stanęły; na każdej powstają maszty z rozczuchranymi linami — w mgnieniu oka lekkie żagle zadrnęły, bujając w powietrzu na wyścigi z wyziewami nadbrzeżów, a bojarzy, goniący w oddali, dziwią się owej mgle, wznoszącej się tak nagle ze środka jeziora.

Zarucki podał ramię Marynie, by pomóc wstępującej na statek, potem miał sam wskoczyć, bo już i była pora k'temu. Kiedy odwrócił się znienacka i dobył czerkaskiego tasaku, konie podług przepowiedni wodza leżały na żwirze, zdyszane, oprószone pianą jakoby śniegiem, robiąc bokami, tarzając się czasem w swojej niemocy, z żalem krwiste rozszerzając oczy za łódkami i odchodzącym panem. On spojrzał na nich, jak dziki spoziera na przyjaciela rannego, by ostatnią wyświadczyć przysługę — dobiciem.

— Ukróczę wam męki, niewoli oszczędzę i tobie, moja Giemzo, i tobie, Istambule mój — rzekł głosem stłumionym od wzruszenia i nachylił się nad Giemzą, pchnął raz tylko, nachylił się nad Istambułem, gardło poderzwał, a wyrwawszy garść włosów z grzyw obu, na kołpaku zawiesił.

— Wy mi to nie dziś ni jutro, ale odpłacicie kiedyś — zawołał do nadbiegających żołnierzy; sam jednym skokiem od ciał koni odrzucił się w czajkę i kazał młodźcom gnać spiesznie za łódką carowej, która odpłynawszy na czele innych, zbliżała się już do koryta Pratwy. Cały brzeg czernieje od jeźdźców wrzeszczących za Maryną i hetmanem. Księżyc, za nimi wiszący na niebie, ciska ich długie cienie na przestrzeń zatoki, które, to zwężając się, to rozszerzając, garną się za uchodzącym statkiem, w środku którego stoi Zarucki. Podjął burkę i zarzucił na piersi — w jej szorstkich kudłach mięknie żelazo strzał rzucanych z brzegu, a on, szydząc z nich, potrząsa ręką na znak pogardy. Kilku próbowało puścić wpław konie, ale uwięźli w mule, więc nazad pierzchają. Jeden tylko wyprzedził wszystkich; niemiłosiernie kalecząc rumaka, zmusił go do przejścia brodu, a kiedy dna nie stało, po szalonemu odważył się płynąć wprost ku łódce hetmana, puściwszy cugle, jedną ręką tylko ważąc włócznię — a drugiej ręki spod szaty nie wyjmując wcale.

Już minął cienie od hufców, wypłynął na czyste, gdzie księżyc twarz mu całkiem objaśnia. Usta ścięte, jakby zęby, raz zgrzytnąwszy, już rozprzęgnąć się nie mogły i zmartwiały w tym zgrzytnieniu.

Rysy boleścią stargane, hełm, twarz i piersi wystają nad wodą, reszta zanurzona, ale po ruchu piersi znać, że nogami wciąż bodzie rumaka, który głowę niesie, jak może najwyżej, parska z rozpaczy wśród mroźnej topieli, tracąc na mocy a na krwi co chwila; już krew wypływa na wierzch w bąbelkach, znać jeździec szeroko rozpruł nieszczęsnemu boki.

Ale młodźcy odsunęli się daleko — nie ma nadziei ich dognania; więc Agaj-Han odkręci się nazad i szląc wściekłym wzrokiem za łódkami, mdlejącymi wśród wyziewów nad korytem Pratwy, zaczyna wracać do brzegu.

Lecz koń mu już nie służy, ledwo że rusza jeszcze nogami bezsilnymi na odparcie dość wody, by posunąć się naprzód. Stoi na miejscu, nie idzie w głąb zaraz, bo pracuje jeszcze, ale ktokolwiek nań patrzy, nie wątpi, że już po nim. Kilka minut trwała ta walka; wreszcie on spuścił głowę, wciągnął ostatnim oddechem pełno wody w nozdrza i poszedł na dno. Młodzieniec, splątany w strzemionach i cuglach, zniknął również, a krzyk przerażenia, który bez dołożenia się ludzi w takowych chwilach z piersi im wylatuje, tak że sami zdumiewają się przysłuchując się jego dalekim echom, rozległ się po brzegu.

Nieco dalej od miejsca, gdzie koń i jeździec zapadli, zamąci się woda, głowa pluśnie na wierzch, jedna tylko ręka fale rozcina i sunie przed głową. Nikt z patrzących nie wierzy, by tatarskie pacholę zdołało do brzegu się dostać. Ciekawie wyszczerzają oczy, patrzą pilnie tak jak w innych krajach lud patrzy na aktora, grającego w okropnej sztuce.

On, szczęściem, pozbył się szyszaku — włosy zroszone połyskują w promieniach miesiąca; twarz jego do trupiej podobna, wszystkie mdłości konania na niej się odbijają, pasuje się rozpacznie w czystej, srebrnej wodzie, która go otacza dokoła w której głębi księżyc się złoci, ozdoba grobu zgotowanego na dnie — ale on w tej chwili na nic już nie zważa. Jeszcze zostało się drżenie zazdrości w piersiach, lecz zapchnięte w głąb, bo dreszcz śmierci wziął górę. instynkt życia jedyną stał się namiętnością, pełną energii, wzywającą każdego muszkuł, każdą żyłę do działania, rządzącą siłami ciała, tak jak miłość myślami mózgu, ostatnią zbawicielką w godzinie niebezpieczeństwa, kiedy rozum, nieprzytomny sobie, ustępuje z własnego tronu, z głowy człowieka. Coraz prędzej, coraz mocniej, potem coraz wolniej, coraz słabiej darł się ku brzegowi. Z początku przebiegały mu na licach konwulsje boleści; teraz już tylko omdlenie, a czasem jeszcze podrzut życia wyskoczy na nich. Głowa chyli się, pociągnięta ciężarem namokłych włosów. Drugą rękę dobył, ale ta, bezsilna, błąka się po wodzie w tą i ową stronę, jak sucha gałąź na nurtach potoku. Już dwa razy fala pokryła mu czoło, dwa razy podźwignął się ostatkiem sił, a dziwno wszystkim obecnym, że tyle ich w tym wysmukłym ciele to nurząc się to podskakując jak raniona ryba. jeszcze upłynął kilka kroków

Już niedaleko do ładu Powiązali rzemienia od siodeł i od kołczanów — rzucili mu na czas właśnie, bo za ledwo uchwycił się zębami i dłonią, aliści zemdłał zupełnie; ale choć bez zmysłów, trzymał się sznura, jak trup trzyma się trupa, z którym walcząc, razem upadł na wieki — i tak dociągnął się aż do brzegu między towarzyszy.

VI

Już niemało czasu ubiegło od tej nocy miesięcznej, w której wojewodzianka sandomierska, uszedłszy i więzienia, odpłynęła na kozackim czólnie.

Wielkie państwo moskiewskie pali się wciąż i dymi pożogami Polaków. Rozbiegli się husarze i potrząsając skrzydły jako drapieżne orły, ulatują ponad gruzami i gęstym trupem. Wycieczki „straceńców”, nie wstrzymane u Kaukazu, w głębie azjatyckie się zapuściły, każdy rabunkami pnie się do bogactw, rycerskim czynem do chwały; miasto zburzyć wieś spalić jest ich chlebem powszednim. Z niewolnicami płasają nad stosami popiołów, grzeją się pośród mrozu na zgliszczach pałaców, winem i miodem sączą się wąsy — tym lepiej im potem usta kleić z ustami Azjanek.

Jak wiekiem wprzód na drugim końcu ziemi Hiszpanie hasali po odkrytym świecie, tak dziś Polacy wysypują się na Moskwy obszary. Patrz, Korteż Montezumę ściąga z tronu. Żółkiewski Szujskich prowadzi; Meksyk płonie kagańcami wśród czarnych jezior i wzywa pomsty za skrzywdzonych bogów; Moskwa o tysiącu kopuł burzy się o świętych swoich i znieważone cerkwie.

Nowy to świat był Polakom, wschodni, szeroki, otwarty na stratowanie końskimi podkowy. — Co tylko spało w Lechii hartownych dusz i dzikich serc, to przyszło obudzić się i żyć zażarcie na niwach ad Moskwy do Astrachanu. Żyją więc bez spoczynku, walcząc dniem i nocą, z hełmem wbitym na czoło, z bechterem przykutym do piersi, wolni, śmiejąc się z prósb i rozkazów, nie dbając o dom, rozmiłowani w gonitwach i żeglugach, swobodni przez wszystkie dni swoje, póki śmierć nie zaskoczy. Jej jako pani czołem z siodła biją o ziemię. Towarzysze przesadzą trupa i lecą dalej.

Ciągnącym z cieplic nieraz zima zajrzy w oczy; z szalów przewieszonych na plecach, z winogron u siodła wiszących, z kamieni Wschodu szydzi sobie mścicielka Północy; mróz im członki ćwiertuje i powieki spuszcza nad oczyma. — Tak wśród wozów i koni całe padają hufce, a Moskwicin, który jeszcze wczoraj o południu lękał się ich wąsów, kiedy przejeżdżali obok chaty, dziś śmiało, klaszcząc w ręce, depta po nich i błogosławi niebu.

Ginęli prędko w cnych czasach książęta i hetmani z rozkoszy i z bojów. Ale nad świeżą ich mogiłą powstawali drudzy, równie dzielni, równie zapaleni, by z życiem wcześniej się rozstać, w kilku latach zawrzeć wiek cały chwały i rozpusty. Nie szło im o to, dziś, jutroli padną, ale pragną umrzeć królami, dalekim niwom polskie dać we znaki imię, zapuścić się w kraje bajeczne pomiędzy góry i morza, innych widzieć ludzi, za niebezpieczeństwem ścigać, tchu mu nie dając, i zepchnąwszy w ostatnie schronienie, tam ostatnią, ogromną zwieść walkę jak z tygrysem w jaskini.

Przed wieki takimi bywali bohaterowie, zwycięzcy Rzymu, którym wolność wrzała w piersiach, tak, że od niej pędzeni naprzód, kochali się w błędach, zjawiskach i wiecznej walce ze wszystkim, co ich otaczało, z ludźmi i żywiołami, zmagając się z burzą po oceanie, tratując po gruzach na lądzie, a kiedy i ludzi, i burz nie stało, klnący w rozpacz, że odetchnąć im trzeba.

Patrz na Aleksandra z Lisowa! Nie ujrzysz go nigdy całkiem; bo zawsze ci go stos ciał lub kłęb dymu sprzed oczów wyrwie w połowie. To mignie szabla wśród ogniów, to poła burki zakręci się na rozwalinach, to głowa czasem wyjrzy, broda, wąs, zroszone iskrami, czoło zwęglone, oczy pełne żaru, a reszty ciała nie widać, bo gdzieś zanurzone w gruzach i popiołach.

Tam na łożu w namiocie umiera książę Rożyński. I jemu też piękne dni świtały kiedyś, ale teraz przyszło do ostatniej chwili, w kwiecie młodości, wśród niesfornych hufców. Ich krzyki i odkazywania dochodzą uszów wodza jak muzyka pogrzebowa, w trapiącym śnie słyszana — na twarzy jego coś miększego przymieszało się do wyrazu odwagi i twardości. To nie gladiator starożytny, konający z energią rzezi na licach, z groźbą i natrząsaniem się z ludu, który piętrzy mu się nad głową i oczami krew z ran jego żłopie, ale bohater, żegnający życie bez żalu, z żalem żegnający złudzenia żywota, dziarski i nieugięty, póki chwała mu kochanką wierną była, a w westchnieniach rozptywający się za tą, którą tyle czcił i lubił pieścić na łonie, a która go wśród uścisków niemiłosiernie zdradziła. Rozpamiętywa on teraz marność ludzkich zamiarów — na nowych powzięcie już nie staje czasu — a wieczność mało znana jego duszy. Ziemi już prawie się nie trzyma, a do nieba ramion wyciągnąć nie umie. Łoże śmierci jest własnym jeszcze, ostatnim jego światem; w tych kilku belkach, lamparcia skórą zarzuconych, ściągnęły się królestwa, o których marzeniem upijał się długo. Jeszcze hełm i buława stoją niedaleko, ale już może sięgnąć ręką do nich nie patrafi! Ich połyski w promieniach słońca szydzą z umierającego. Więc smętno tej żołnierskiej duszy na progu nieznanej krainy, gdzie myśleć i modlić się trzeba; a władać ludźmi i gonić po bitwach, tam, gdzie wiedzie serce, nie sposób — pierś jego coraz bardziej, coraz bardziej mdleje!

Ale postrach Azji, ale rycerz dawnych wieków, Chrobrych i Śmiałych dziedzic w

puściźnie sławy, na arabskim dżanecie, w słonecznej zbroi, jeszcze panując swoim rotom, z chyżością Tatara przelatuje pustynie, z głęboką sztuką zachodnich wodzów bitwy wygrawa, nigdy zwycięstwu nie dając się wymknąć z rękojeści szabli, gdzie go więźniem trzyma od pierwszego dnia, w którym wystąpił na boje; nie spodziewaj się śladu słabości na licach uświackiego Sapiehy — smutek go nie zwątli! Do ostatniej chwili będzie tłukł mieczem o bechtery wrogów, do ostatniej chwili będzie się pasował z ludźmi i przeznaczeniem, z swoimi i cudzymi, a kiedy zgon przed nim stanie, powita go ze zgrozą na twarzy, z zmarszczonymi brwiami, jako przystało na męża, który nie wie, co trwoga i co ukłon komu, ale wie, że go się lękają i że po bojaźniach ludzkich wdrzeć się można do tronu. Pełny myśli swoich, obojętnie poczuje, że śmierć już w nim, i dumając o zamiarach, dzierżąc hardo głowę, bawiąc się rękojeścią miecza dla nauki, jak berło trzymać przystoi, dech wyzionie w postawie króla zasiadającego na tronie [w pierwszym dniu panowania swego]. Ta ogromna burza, co z Lechii ciągnęła na Moskwę za gwiazdą swoją, nadobną Mniszchówną, teraz już na osobne rozsypuje się chmury, a każda chmura szamota się w kącie widnokręgu. Gdzieś między nimi gwiazda ich zniknęła.

Od dawna nie słyhać już o carowej — inne imiona pną się na stolicę carów.

To Zygmunt wskazuje na syna, a myśli o sobie. To Władysław słyszy zewsząd przysięgi narodu i drży, niecierpliwy dostać się do berła. To w kostromskim monasterze, przy szlochach matki, synowi Filaretowemu czołem próg zmiatają bojary, prosząc, by objął jarzmo nad ich karkami, by ocalił wiarę błahoczesną i państwo Ruryków.

Zamieszanie, jakby w dzień sądu ostatniego, powstaje wśród tyłu wojsk i pokoleń. Nie ustają pożary i mordy, ale nie wiedzieć już, kto daje do nich hasło po nocach. Każdy szlachcic, każdy młodziec wodzem się mianuje. W ostatnich chwilach chce się każdy nacieszyć choćby jedną godziną władzy, nie już jako prosty żołdak w dzikiej prostocie płasnąć we krwi i zataczać się w perzynie, ale jako pan, siedząc na dżanecie, patrząc z ubocza, jako gród się pali, użyć spokojnie rozkoszy pożogów.

Języki, oręż, obyczaje, powikławszy się, zgiełkują z sobą. Ciur obozowy wschodnie śpiewa powieści; na hełmie husarza półksiężyc złoty połyska; mową polską Tatar się odzywa, Moskal nie wie, komu służy; hufce Władysława i hufce Pożarskiego pełne jego.

Na błoni otworzystym biegnie rota zbrojnych i wrzeszczy o dwa razy zabitym Dymitrze, że on zmartwychwstanie jeszcze. Tam naprzeciwko sunie zbłąkany tłum, jak gromada leśnego zwierza, i o Szujskim wspomina. Aż tu rycerz, stałą okryty, nadbieży i kopią wysuwając, w pędzie zawoła: „Niech żyje Laszka Maryna!” Z boru wystąpi pułk „straceńców” i śpiewa żale o umarłym wodzu,

Aleksandrze z Lisowa. Ze wzgórza spuścisz się chmura perekopskich, na plon zajadła, sobie żołdująca. nie komu. Aż tu nadjedzie hufiec sędziwych panów, zbrojny jak inni, poważniejszy od innych, z pacholętami z tyłu, z sztandarem koronnym i surowymi głosy wzywają przed stopnie Władysławowego tronu.

Na rzece, co płynie w pobliżu, na czajkach błysną młodźcy, lecący ku Czarnemu Morzu. Nurty ich podchwycają i fale przerzucają sobie. Oni pędzą gdyby na stepie, radośni nadzieją łupieży, śmiejąc się ze skał, co czasem ku nim wyskoczą spod wody, z dłonią przykutą do steru, z dumką na ustach, z czołem wypogodzonym na burze, przeciw którym spieszą. Na grobli, wykręcającej się wzdłuż tego jaru, ciężkim pochodem zbliża się szwedzka piechota, w milczeniu idąca do boju, pilnująca swoich szeregów jak swojej płacy, z zapalonymi lonty, berdyszami najeżona. Między tymi kępami i krzewy czołgają się szkockie strzelce z łukami, które jedno wyspiarskie ich dłonie naciągnąć potrafią, z strzałą, co gałąź leszczyny rozczyknie w gęstwinach boru i pióro z każdego hełmu strąci w dół niemylnie.

Tymczasem po drodze, środkiem równiny, odezwą się hymny; w mitrach i ornatach postępują czerńcy z krzyżem, co jaśniej rześistymi połyski, z obrazami świętych, od 'których woń cedrów się roznosi, z gromnicami w dłoniach, a dym gromnic baldachimem wije się nad nimi; na siwe brody, nagie czoła, na drogie kamienie i szaty, na lamowane chorągwie promienie słońca padają i mgłę jasności z nich słońce ciągnie ku sobie, tak, iż wydają się boskim zjawieniem, co zstąpiwszy na ziemię, przesuwają się z wolna przed oczyma ludzi, śpiewając o wielkim patronie moskiewskim i o zbawieniu Moskwy przez kapłańskiego syna.

Nagle trąby i bębny zagłuszą pieśni kościelne; tu chmura strzał wyniosła się, tam las z dzid wyrósł nad głowami, ówdzie szable, atagany, kindżały kręcą się w powietrzu. Owi taborem się opasują, tamci wołają zdać się na chyżość stóp swoich. Inni głaszczą koniom grzywy i śmieją się z pieszych. Każdy do walki się gotuje podług wrodzonego obyczaju. Polak nuci o Bogarodzicy, podkręca węża i długą szablę pieści w dłoni, by mu dobrze służyła. Przybyłcy z azjatyckich puszczy trącają łuków swoich struny i ich brzękiem dodają sobie wściekłości. Niemcy na cel biorą wrogów i mierzą -w nich długo, spokojnie, wparłszy kolbę w obojczyk. Kozacy zeskakują z siodeł i za nimi gotują rusznice. Ówdzie Tatarzyn kładzie w usta kryształki opium, by mu bitwa przeszła jak sen, a śmierć, jeśli ją spotka, wydała się wstępem do bram Edenu. Aż tu huk i wrzaski dadzą się słyszeć. Dym pełźnie nad głową walczących i poległych. Z hufców, dotąd spokojnych, porobiły się wiry ze stali, które się kręcą po równinie [— zgrzytają kordy o pancerze i hełmy].

Wszyscy, jedni po drugich, to zwyciężają, to (przegrają, to się cofną, to znów pomkną się naprzód, a każdego walczy za kogo innego. Sto hasłów buja w

powietrzu i głuży się nawzajem; sto imion, sto zamiarów, wcielonych w głos, ulatuje ponad walczącymi, miesza się w nieładzie, żadne wygórować nad resztą nie zdoła i wreszcie wszystkie opadną w dół na martwe głowy tych, z których ust wyszły. Głucho, samotna — chyba, że słysząc jeszcze pluskanie krwi z żył trupów.

Takie co dzień po całej Rusi odbywają się boje. Rozsypała się już wieża babilońska Dymitra, a jeszcze ci, którzy ją dźwigali, nie mogą dać Bobie pokoju, rozbiegli się na jej gruzach, miotani szalem to sławy, to plonu. Ten, który dziś naspędzał więźniów gromadę, jutro ręce poczuje krzepnące w kajdanach nieprzyjacielskich. Ten, co dziś tratuje po ciele wroga, jutro sam dostanie się pod czyjeś podkowy i stratowan będzie. Cieszą się całą noc marami państwa; o brzasku już odleciały, a samym głód dokucza lub miecz wisi nad głową.

Tak wyginął cały ród bohaterów!

W ich ślady mało kto już ważył się wstępować, bo w tych śladach krew czarna krzepnęła i prochy z startych buław książęcych leżały. Zdawało się, że już usypiają bałwany tej powodzi, która z polskich równin wylała się na moskiewskie błonia; bo jedne wyszły, drugie cofnęły się wzad od tłuczonych nadbrzeży, kiedy krzyk usłyszano podobny do tych, które ucichły niedawno, grożący burzą krzyk męża, wyciągającego szablę w własnej sprawie: „Z tej szabli mojej, tak [płytkiej i] cieńkiej, musi wylecieć dla mnie królestwo.” I wnet ujrzano, jak mołodźców hufiec pędził ku wschodowi za wodzem i niewiastą precudnej urody, trzymającą dziecko w łęku, nad siodłem rączego rumaka.

Właśnie w tym samym dniu dzwony cerkiew Moskwy rozrywały chmury swoimi brękami, bo syn Filareta tron Kremlinu zasiadał, wśród bojarów krzyżem leżących.

Ten krzyk nagły, z dziarskich piersi wypuszczony, wpadł im na głowy leżącym, a w uszy młodemu carowi.

— Kto — zapytał — miesza naszych państw spokój?

— Ej! carze, to Igor Sahajdaczny Zarucki, to wódz dużej ręki, rozkochanego serca. On czekał długo, póki padną wszyscy równiennicy wokoło niego, póki nie zostanie na stepach i w miastach ruskich nikogo, co by śmiał zajrzeć mu w oczy; bo takich było kilku przed laty, ale dziś, kiedy sam się zobaczył panem nad mogiłą tylu zamiarów i chwały, panem nad trumnami Rożyńskiego, Sapiehy, Strusia, Aleksandra z Lisowa, po odwrocie Chodkiewicza i Żółkiewskiego, ostatnim człowiekiem z pokolenia, co rodem z Polski, żyjąc wśród pożarów i bojów, przeszło prędzej od pokoleń ludzkich, ale też głębsze

Ślady za sobą zostawiło, niż zwykły ludzkie pokolenia — puścił cugle na grzywę koniowi i popędził w zawód, na którym groby poprzedników służą mu za słupy drogowe. Nic go tnie wstrzyma, póki wróg stałą nie osadzi mu serca; bo dumny, że sam jeden został na starym pobojuwisku, świeżą krwią odmłodzić go pragnie, wierząc głęboko, że gorączka, która nim rzuca, jest przeznaczeniem nieba; a zresztą przestałby i na tym, że to chęcią Maryny, tej Laszki cudzoziemki, nie znużonej trudem i klęskami, która dotąd z pychą rozpamiętywa dzień, kiedy jej i Dymitrowi mężowi cała Moskwa przysięgała na wiarę. Ku stepom, ku góróm, ku Azji leci więc z dobytą szablą, a pochwa gdzieś się osunęła i w biegu zgruchotały ją końskie podkowy.

VII

Kto i razu nie oglądał miasta panującego nadbrzeżom Kaspii, ten chyba sny miał okazałe, ale przepychu nie widział na jawie; niechaj więc porwie za kij pielgrzymi i pójdzie oczy nacieszyć przed śmiercią!

Wołga, jak matka, ramionami obtacza Astrachanu mury i u piaszczystych piersi go trzyma. Spomiędzy jej nurtów podnoszą się dachy, nad nimi królują wieże, minarety, półksiężycy pogan i greckie krzyże a kiedy słońce o południu jaśnieje, owe blachy srebrne i złote żywym ogniem płoną — rzekłbyś, iż nad każdym gmachem zawisł meteor nieba!

A po ulicach, korytach, rynkach dzieci stref rozmaitych biegną, w łódkach płyną, gwarzą, krzyżują się tłumnie; ówdzie Tatar z Aidoru przesuwają się w czółnie, z roztwartym kaftanem, z wartkim wiosłem, któremu żaden z innego plemienia nie podoła. Tam Gheber, z pasem narodowym na piersiach, gibko przemyka pomiędzy ciżbą i wchodzi do świątyni, kędy wieczne płomienie goreją. Perskie kupcy w deliach stąpają poważnie, zamyśleni, głaszcząc sobie brodę, odwracając się groźnie, kiedy Turka spotkają o białym zawoju, o kindżale przy boku, szemrzącego modlitwę do proroka; ówdzie na krużganku stoi Hindus z Lahoru, słodycz żarzące oczy mu cukruje, rysy twarzy prześlicznej łagodności, zaciągnięte miedzianą barwą, w jednym ręku trzyma jaśminu gałązkę, w drugim złote medale — na kwiat i na złoto spoziera uprzejmie, aż zda się, że omdleje z rozkoszy. Wszystkich hord Tatarzy spotkali się tutaj. I owi, co w rozsypkę po wnuku Tamerlanowym się rozbiegli, i ci, którzy osiedli w Krymie, by hołdować sułtanom, i ci, którzy, dotąd wolni, paszą konie piołunem stepów. Greckiej wiary ludzie, wielkiego państwa moskiewskiego syny, przechadzają się dumnie, jako chrześcijanom i panom godzi się wobec pogan i poddanych. Ich kościół brzmi dzwonami i jaśnieje przepychem, a zatknięty krzyż na nim wyżej od wszystkich minaretów sięga w powietrze. — Rzadziej zdarzy się spotkać

człowieka przybyłego od krain zachodu. Czasem jednak przejdzie po rynku wyspiarz z owej ogromnej wyspy zamorskiej, w czapce z piórami, z wstążkami u trzewików, z szpadbyń u boku, krokiem sążnistym, niespiesznym jednak, patrzący przed się, a niekiedy wokoło, lecz już wtedy z nieużytą dumą. Włoch też uwija się po ulicach, wymokłej twarzy, z ognistymi oczyma, z koturnem na nodze, z sztyletem zatkniętym u brudnej koszuli; a na odnogach Wołgi, które wciskają się do miasta, poznasz Wenecjanina po kształcie łódki, którą sobie przypomnieć chce adriatyckie mielizny, po czarnym płaszczu, po złotym łańcuszku na szyi, a najbardziej po zmarszczkach, które chęć zysku i bojaźń ojczystych sądów na czole wyryła. Niekiedy na zakręcie kanału ozwie się dźwięk gitary i wschodnich grzechotek, czasem też zabrzmiały cymbały i naczynia ze spiżu, o które biją wonnymi różdżkami Iranu dziewice. Śpiew rozlega się czasem w portykach domów, ciągnących się nieprzejrzenie, przepychem azjatyckim wystrojonych. Pomiedzy nimi tu i ówdzie stoją charty Tatarów, okute szynami żelaza, panów koczujących drewniane namioty wśród stolicy bogactw i handlu. Zewsząd powiewają spuszczone kobierce. Zda się, jakby od krużganków, od okien leciały hurmem kwiaty i zatrzymane kołysały się w powietrzu — nad galeriami, nad płaskimi dachy rozciągnięte opony z jedwabiu, pomiedzy ich rysunki i hafty promienie słońca biegają, gdyby wśród ogrodu pełnego róż i motyli, a ogrody i winnice zielonym wieńcem okrażają miasto.

Świat to z tysiąca kolorów i uczuć złożony, pełny życia, brzmiący setnymi języki, okazała tęcza wszystkich narodów Azji, jaśniejąca wiecznie nad falami Wołgi, od reszty ziemi pustyniami odcięta i morzem.

Ale czym są pustynie, kiedy lotne rumaki młodźców, spragnione, kurz miasto wody piją i lecą dalej z wodzem na czele! Wpław tumany piasku przepłynęli, Tatarów i Moskali rozbili, na ich trupy nie oglądali się nawet i nad Wołgą stanęli.

Tu Sahajdaczny kazał ściągnąć wodze i odpocząć ludziom swoim; potem spoziera ku północy, skąd Wołga płynie, i czeka; niedługo czekał, bo tam, gdzie nurt rzeki miesza się z oddalą, zda się, że czarna chmura przysiadła na wodzie i nie roztapiając się w niej, (pędzi jak gwałtowna burza.

Im bliżej, tym prędzej bieży, aż słychać jęk fal.

— To czajki nasze! — krzykną Kozacy.

Wódz nic nie odpowie i skinął ręką, by zachowali milczenie. Potem zbliżył się do lektyki przestonionej kosztownymi firanki, nad którą korona carów z szczerego złota się wznosi, i odsunął boczną zasłonę.

— Hospodarko! — rzekł.

A ona obudza się ze snu i w rozmarzeniu jeszcze, blaskiem kopuł na przeciwnym brzegu olśniona, pyta się, czy to Moskwa i Kremlinu szczyty.

— To nowa twoja stolica, królowo Azji — odparł hetman i wskazał na wody okryte czółnami. W tej chwili wzrok jego pałał dumą zdobywcy i szczęściem kochanka.

— A więc każ waszmość do szturm, bom strudzona podróżą wśród piasków i w pałacu odpocząć mi trzeba.

Słońce ku stepom się spuszczało, ale mniejsza o to.

— Astrachan moim dziś będzie — krzyknął Zarucki i ku swoim zdąża.

Ze statkiem doświadczonego męża dawał rozkazy niezbyt wyniosłym, ale stanowczym głosem; każde jego słowo głęboko zapada w pamięć towarzyszy. Niedługo też przemawiał, bo tyle bojów razem przewalczyli, że oni już teraz wprawili się do jego chęci i celów.

— Jak tylko wpadniecie, a już mrokiem, podpalić dom jaki u wniścicia, pierwszy lepszy, byleby gorzał jak smolna beczka na stypie; przy nim snadniej obaczyć, izali nieprzyjaciel zginął naprawdę lub dyszy jeszcze. Łupy sam wam rozdzielę, a znacie mnie, żem sprawiedliwy. Tej pierwszej nocy nie tknąć mi się ni dziewczki, ni wina, ale strzec się zasadzek i rąbać, dopóki sił stanie! Starcom, dzieciom i białogłowom zda się przepuścić, przecie my nie bisurmany.

Potem wsiadł na czółno i podobnie mówił do nowo przybyłych. Lektyka złocona kołysze się już na Wołdze, przy niej on stoi — to czasem spojry na Marynę, to znów spogląda na szyki swoich. Konie z spętanymi kopyty zostawili na brzegu — jutro, jeśli Bóg da, po nie się przeprawią, a one skaczą i rżą za odpływającymi jeźdźcami.

Na wyspie przed nimi w zmierzchu gmatwają się Astrachanu wieże i mury dziwnie się łamią, to wyskakując, to cofając się w tył; słyhać brzmienie wieczornych modlitw, gdzieniegdzie światło zamignie, to lampa wejdzie na szczyt minaretu, to latarnia gdzieś błysnie na wieży, znad okolicznych trzęsawisk mgła się podnosi i leniwa wlecze się w górę, na brzegach wicher się zakręci i wzbije tumany białawego kurzu — gwiazda zalśni wśród błękitu, poniżej meteor przeleci nad wyziewami. Choć robią cicho wiosłami, czasami się pożali uderzona fala. Niekiedy pomiędzy tyluma zbrojnymi chrzęst pancerza się ozwie szmer takowoż słyhać, złożony z przytłumionych głosów, podobny brzękowi owadów nad błotami; czółna się zetną z sobą w pędzie i stukną. Na każdego z tych odgłosów rysy wodza pomimowolnie zadrgną, bo jemu dreszcz biega w piersiach jak młodzieńcowi, który się skrada pod okno lubej kochanki.

Zbliżyli się do wyspy — już mielizny podchwytyją spód czajek i one więzną w mule. Wtedy z owego milczenia zgodnie, razem wydobyło się ogromne „hura”, które nad wodami się rozległo, i pędzone wichrem, uderzyło o mury Astrachanu.

Wnet cała tłuszcza wali się ku miastu. Wśród kilkunastu zbrojnych statków została lektyka, a wódz pożegnał jej panią obietnicą zwycięstwa i poszedł do walki. Nie uszło chwil kilku, aż tu buchnie pożar; Wołgę ozłoci, niebo łuną rozkrwawi; ogień to wesela, przy którym hasają młodźcy.

Kopuły, księżyce, krzyże, jako gwiazdy mordy, czerwono zabłyśły nad miastem; między nimi pędzą kłęby dymu, które je przesłonią, to odkryją na przemian. Burza to pełna dziwów między niebem a ziemią, poniżej czarne postacie płasają wśród płomienia, co chwila znikając jak duchy, to znowu wracając na widok, podług tego jak wicher przesłoni ich kurtynę z popiołów lub obwiedzie kręgiem z ognia. Wciąż grzmi wrzask najeźdźców i nie daje krzykom broniących się, jękom rannych przedrzeć się aż do uszów Maryny, która stoi na przodzie statku, otoczona swoim dworem, starając się utaić wzruszenie, udając męskie oblicze, by nikt nie wątpił że zrodzona do berła. Czasami jednak zadrzą jej kolana i słabe westchnienie wymknie się z piersi. Królowa twoja, o Astrachanie! płacze nad tobą pierwszej nocy panowania swego.

Wtem spośród wyziewów, drzemiących nad zatokami Wołgi, od morza żagle się ukażą i suną po wodzie jak mary po darni cmentarzów; na odsiecz miastu, znać, spieszą majtki wracające z kaspiskich połowów, a że miasto już płonie, by zemścić się, wprost pędzą ku czajkom carowej.

Wtedy ona do młodźców się odezwie bez drżenia, z powagą i wdziękiem niewieścim pospołu; kazała podać sobie kolczugę i zarzuciła przez piersi jakby chustkę jaką — i stanęła pod koroną złotą, przy śpiącym synie. Pośród błyskawic lecących od pożaru zaczęła się walka; ale wnet zupełna ciemność walczących ogarnie, to znów łuna ich oświeci.

Ale na czajkach kozackich błysnęły gromnice — straszne to gromnice, od których dalekiego połysku Stambuł drżał nieraz — matki tysięcy iskier i węzów z płomienia, skaczących do oczu, pełznących po drewnie i żelazie, nie zgaszonych niczym. Z rąk młodźców wyrzucone, spadły na pomosty rybaków i pożar na falach Wołgi syczy i bucha w odpowiedzi na szumy pożaru, którym Astrachan płonie.

Cała przestrzeń się rozwidniła — słupy dymu nad wodą się wzbijają. Wicher gwizdże pośród masztów i lin, coraz wyżej, coraz szerzej pcha ogień, który wdiera się od pokładów, liże krwawymi języki białe żagle i na perzynę je rozmięca. Tymczasem młodźcy przyklękli na swoich łodziach, ale nie do

modlitwy, choć milczą tak uroczyście, jak przy podniesieniu Bożego Ciała. Milczą i celują, razem wypalili; świsnęły kule; słyhać jęki zrazu, czarny kadłub tu i ówdzie pluśnie w nurt i pójdzie na dno. Nastąpiła cisza głosów ludzkich na przeciwnym okręcie; nie wyginęli jednak do ostatniego, ale ci, którzy zostali przy życiu, oniemieli z przerażenia.

Ich wysoki okręt na wolę Wołgi i wiatru się kręci; już ludzkie ręce nim kierować nie zdołają, bo maszty węglami się stały, płótna w dym poszły; naokoło niego, jak drapieżne ptaki, krążą małe czajki, usuwając się zręcznie i nagle spod walących się belek i masztów, a jak tylko owa zawieja przeleci, wracają do szturmu. Maryna ciągle rozdawa rozkazy — tysiączne blaski łamią się w pierścieniach jej kolczugi, kołpak z ukosa leży na skroniach, pół tylko włosów zakrywa, reszta buja sobie wśród iskier i burzy. Ktokolwiek na nią spojrzy, rad by rzucił się do stóp i uczcił panią, a potem skoczył ku wrogom i dał gardło w jej sprawie, by jutro nad tym pięknym czołem weszła korona.

Po łoskotach i po jękach wielu łatwo poznać, że nieprzyjacielskiego okrętu ostatnia dobija godzina; na pół zgorzałe ciała czołgają się na pomoście; czasem dym się przerzedzi i widać oczywiście ostatnie podrzuty umierających. Wtem zerwał się wichur ogromniejszy niż przedtem i popędził pałacy się ogrom precz od czajek. Jako piramida z ognia, wirem się kręci i odsuwa, od jego boków leją się strugi roztopionego ołowiu i z głuchym szumem padają w wodę; słyhać też po jakimś czasie jako wpędzony na brzeg rozłamuje się do szczętu. Jeszcze kilka czołen od niego błąka się po Wołdze, bez wioślarzy, bez sterników, jako męczenniki dawne, zataczające się po drogach z wypalonymi oczyma.

Wtedy czajki znowu skupiły się naokoło Maryny i stoją w milczeniu; wszystkich oczy zwrócone ku miastu, ale dym rzucił zasłonę między miastem a nimi. Zza tej opony słyhać wrzaski i szczęki, niekiedy strzelbę i łoskot walących się murów, ale nic nie widać. Niewieścia niecierpliwość przemogła w Marynie — ręką znać dała, by płynąć ku miastu.

— Już późna godzina, za długo u bram naszej stolicy stajemy — rzekła z uśmiechem i poprawiać zaczęła rozwiane pukle, głaszcząc je i trefiąc, jakby na gody spieszyła. Wpłynęli w dym i zniknęli wśród niego.

Owóz jest wam powinszować czego, Igorze Sahajdaczny Zarucki, żeńcie w tak przeważnej potrzebie górę wzięli i pod swoje stopy cisnęli miasto najwspanialsze po Moskwie, wznoszące się wśród pustyń jako czarodziejskie zjawisko. Dobrze wam tu odpoczywać będzie po trudach i jedwabiem perskim i muślinem Indii znój obcierać z czoła. Ale gdzież się podziało to plemię, które niedawno skakało i połykiwało, wzorem lubieżnych jaszczurek, po twoich ulicach, Astrachanie? — Dziś wśród zgliszczów leżą pomięte winnice, a z nich dym czołga się w niebo nie już kłębami, ale niciami, jak zwykle bywa nad

spalonymi gmachy, w których głębi tleją węgle jeszcze, przesypane gruzem i deszczem przemiękłe. Na rynku obcy żołnierze, od progów Dniepru przybyli, ciągną na los szaty twoich mieszkańców i twoich domów obicia, a w sali zamkowej zdobywca rozdaje kosztowności towarzyszom, twojego wojewodę, spętanego w łańcuchy, kazał stawić przed sobą; biada jemu, bo nie umiał zginąć, jako na walecznego przystało!

Przez okno widać rozwaliny, przeszłej nocy dzieło, i pół miasta, i Wołgę w oddali; na podłodze tarcze, sajdaki, spisy, włócznie, hełmy, zawoje, siodła perskie, rzędy płonące od rubinów leżą w nieładzie, a między orężem i zbrojami połyskują tu i ówdzie szaty niewieście, welony gwiazdkami przetykane, naramienniki, wachlarze z drogich piór, futra, kobierce, makaty, roztruchany ze srebra, misy, dzbany miedziane, meszty wschodnie, zdarte z cieniuchnej nóżki, opłatane kwieciem ze złota i kwieciem z jedwabiu, bursztyny, kanaki, korale. Pośród owych łupów, to walających się na posadzce, to ułożonych w stosy, siedzi w krześle wódz mołodźców, otoczony swoimi, i patrzy z pogardą na jeńca, który stoi przed nim, wśród strażników, z głową schyloną, ze spuszczonej ramionami, bo je ciężar kajdan ciągnie ku ziemi.

Grek to, co się wrodził żebrakiem na Archipelagu wyspie, a spanoszył się na dworze carów i wczoraj jeszcze panował nad Astrachanem jak trzytułny basza. W oczach tleje ostatek piękności naddziadów, ale na twarzy, wśród pryszczów od wina i zmarszczików lubieżności, lata bojaźń śmierci. Dotąd suknia wojewody na nim połyska; wprawdzie jej hafty rozerwane, podziurawione rękawy, pas osunął się na piersiach z zgruchotaną klamrą turkusową, czarne włosy kręcą się nad czołem, skąd zeszła pycha — ona do tego czoła już nigdy nie wróci.

Zarucki namyśla się w milczeniu; rysy, z początku surowe, wypogodniały; znać, że litość czy wzgarda przemogły nad prawem zdobywcy, nad zwyczajem owych wieków. Już usta się jego roztwierają, wnet wyrzeknie, by jeńca wypuścić; wtem spojrzał przypadkiem na poduszkę przy krześle — na niej leży jego bułat, karacena i kołpak się wznosi czarny, stalowymi obszuty pierścieńmi, sobolowym rąbkiem obwiedzion, nad którym świeci topaz w złoto oprawny — i u owej klamry dziwnie wygląda zatknięty kędzior jakowyś, spiekła krwią i brudem zmazany.

Wyrwał go syn stepów i skoczył z siedzenia, w pochmurności czoła zagast już wschodzący nań brzask miłosierdzia; pomiędzy łupami przechadza się żywym krokiem, deptając zawoje, szaty, klingi, mnie w dłoni sierść ową i ciągle milczy wśród towarzyszy, którzy, zdziwieni i przelękli, usuwają się przed nim.

— Widzieliście — wreście zawoła — widzieliście sami, jako ręce były na suchym i na mokrym polu, w trzęsawiskach nie grzęzły, ale z kępy sadzały na

kępę, w nurtach rzek pływać umiały gdyby dzikie wydry. Iwanie, byłeś ze mną, kiedy Istambuł uniósł mnie z pożaru Kołomny — wszak on potu nie żałował wtedy, by ocalić pana; od dymu i iskier nie odwracaj nozdrzy; leciał na zabój przez płomienie i rzał z odwagi.

Tu się zatrzymał i zdał się szukać kogoś wśród stojących Kozaków

—A ty, Sobolewski —mówił dalej, wskazując na jednego z nich —służyłeś mi za giermka w owej potrzebie z Achmetem Girajem; pamięta szli, jako biedna Giemza dokazywała pode mną? Trzy razy wskroś przez rzędy bisurmanów przebiłem się wtedy, a zawsze tak chyżo mnie niosła, że czasu nie miały ich oczy dobrze mierzyć, ich dżyryty dolatywać mnie! A mur on wysoki na uboczu łąki zielonej. Dobiegła, przesadziła, spadła na wszystkie cztery kopyta parsknęła i biegła dalej. A dziśz nich obojga białe kości na brzegach Praty — przeklęta owa noc, owa pogoń, owe tatarskie pacholę, przekłęci Moskale, niewierni Marynie, zmienniki, służalce Michała, popowskiego syna —oni mnie pozbawili najlepszego konia, najlepszej klaczy mojej!

I tu przestał; po chwili sięodezwał, ale jużgwałtowniej:

—Ja wam powiadam, słuchajcie, młodźcy, słuchaj i ty, Greku, choć nie rozumiesz i słowa, boś nigdy nie bieżał po stepie, jadłeś, piłeśssałeś winograd na sofach — ja wam powiadam, że już nigdy nie zobaczycie nic równego! Jako psy do mnie przywiązane były, a jaka maść, a jaki polot ogona, a jaka falista grzywa — oczy gdyby węgle, szczery ogień buchał z nozdrzy! Istambuł miał gwiazdkę białą między uszami, ale Giemza cała czarna była. Kiedym świsnął, przybiegały do mnie, kiedym pogłaskał, z radości tarzały się w piasku, a krzyknąć, to klękały, by atwiej wsiąść było. Nie raz, ale sto razy ostrzegły mnie rzeniem, że nieprzyjaciel za borem, za wzgórzem, w borze; nie raz, ale sto razy życie im winienem. Cóż powiecie na to?

Nikt nie śmiał się ozwać.

— A ja wam powtarzam, że lepszych rumaków świat już nie obaczy.

To mówiąc, porwał za puchar z kryształu stojący wśród łupów i rzuciwszy o ziemię, rozłukł na drobne kawałki.

— Przysięgłem owej nocy, odpływając ma łódce, przed patronem moim św. Igorem, że bojara moskiewskiego gardło przypłaci śmierć Istambuła i Giemzy — wojewoda astrachański za bojara ujść może.

Umilkł i zdawał się dumać głęboko; kiedy po czwarty raz się ozwał, znać było drzenie w głosie.

— Chciałem przebaczyć.—Tu przez chwilę mowę i oddech zatrzymał. —
Żołnierze, prowadźcie go na śmierć!

Zemdlonego wynieśli z komnaty, a wódz niepewnym krokiem poszedł ku
siedzeniu, sierść z grzyw końskich na nowo zatknął u kołpaka, ale zatłoczył
głębiej pod klamrę, by już nie wyzierała więcej.

VIII

Przez całe lato gody w Astrachanie odprawiali młodźcy; czasem na wycieczki
wylatują, lecz niedługo bawią; z plonem i moskiewskimi głowami wracają; plon
dzielą między siebie, głowy pokażą Sahajdacznemu, potem w Wołgę rzucą,
zawiesiwszy kamień u szyi miasto kijowskiej relikwii, która gdzieś na
pobojowisku została. W pałacu na wzgórzu zielonym, nad rzeką, przesiaduje
pan i pani. Tak bowiem ich zowią od zdobycia Astrachanu.

Po salach, po galeriach nieraz widziano, jako się przechadzała Maryna, oparta
na ramieniu Zaruokiego, jako on do niej przemawiał, już nie kłaniając się jak
dawniej, jak ona odpowiadała bez zwykłej dumy. A jednak w owym żołnierzu,
który więcej nocy przespał pod niebem niż pod dachem, który w obozach ssał
piers mamki, nauczył się imienia Boga i mordowania ludzi, pozostało
uszanowanie dla piękności, która w nieszczęśliwej godzinie powierzyła się
jemu.

On, choć dzisiaj wszechwładnym jest panem w Astrachanie i rozkazów żadnych
już nie słucha z ust, które niegdyś krótkim witały go i żegnały słowem, a później
do jego własnych się zbliżyły, choć wie dobrze, iż imię „carowej” jest marą bez
znaczenia, choć mógłby koczujących wojowników obyczajem znudzić się jej
wdziękami i wypowiedzieć jej wierność, a nikt by się za nią nie ujął — dotąd
jednak słucha jej słów, jako dawniej bywało, kiedy w pokorze zbliżał się do
tronu Dymitrów, dotąd namiętym spojrzeniem rozkoszuje w jej licu i gotów
zapomnieć o chwale i łupieży, byleby zyskać uśmiech dziękczynienia i słowo
miłości.

Przepych Wschodu ich otacza. Sułtańskie sofy i wezgłowia, kobierce seraju,
najradsze kwiaty, kamienie, konchy, perły naokoło błyszczą. Światła się palą w
wazonach z przejrzystego alabastru i barwę rozkoszy po ścianach rozwodzą;
makaty, tkane w kwiaty ze złota i srebra, kształtnie się fałdują u okien i u drzwi;
z piór ptasich u sufitu rozwieszona tęcza; na stole całkie krzewy róż i jaśminu, a
w ich cieniu napoje azjatyckie, owoce, śniegiem zaprawione cukry, Archipelagu
wina; po kątach palą się w misach pustyni balsalmy; u stóp Maryny walają się
porozrzucane po jedwabiu i atłasach korale, wachlarze, naramienniki i muszle.

Gdzieś w dalekich salach odzywa się muzyka, której tony wpływają do 'komnaty i jak ostatnie fale u brzegu, z wolna pluskając dźwiękami, umierają w jej i Zaruckiego uszach; owym nutom nic nie zrówna w słodyczy; a jednak jest w niej siła ukryta, co powoli, jak krople wieczornej rosy, których się nie czuje, wsiąka w mózg i piersi, pierwszy zawraca, drugie mdłą rozkoszą rozlewa; przy nich dziecko płakać przestanie i uśnie, a wojownik szablę upuści na ziemię; przy nich pamiątki przerabiają się w poezję, chwila terażniejsza staje się wszystkim, a o przyszłość się nie dba, bo gdzież już szukać milszej nadziei nad to, czym teraz napawa się serce? aż wreszcie Człowiekowi zaczniesz się marzyć o harfach aniołów i zachce się konać.

Przy takowych dźwiękach wódz młodźców opowiada swoje wyprawy, zwycięstwa i klęski; jako na lipowej czajce przesuwając się między Dniepru wiry i śmiejąc się, przepływał nad bezdennym grobem, skałom się umykał i z fali przeskakiwał na falę przy grzmotach gromów lejących się z wysoka; jako na szerszej łodzi Morze Czarne nawiedzał i żagle, rozdarte od burzy, w odłamkach padające widział wokoło siebie [gdyby zlatujące przybitki po wystrzale], a jednak płynął dalej z jańczarką w prawej, z lontem w lewej ręce, a przybiwszy do brzegu, wsie palił niewiernym i zdartymi z turbanów szalami pierś gołą obkręcał; jako do boju sprawiał rotę swoją, kiedy wodzem został, i na czele ich z bułatem nad głową pędził w sam środek nieprzyjaciół — pożary miast ludnych, odwroty o głódzie i zimnie, kiedy co krok w słupy przemierzali towarzysze, a on chuchał w palce i śpiewał dumkę stepów — gonitwy po stepach na rączym koniu, przy świście wichru i targającej się burce u szyi, w nocy, kiedy gwiazdy jednej nie było w górze ni robaczka jednego świętojańskiego na ziemi, tylko piasku tumany, a czasami trzepotanie się wrony nad głową, w oddali skowyczenie wściekłych wilków — pochody w bagnach, kędy murawa nad topielą zwodzi żołnierza, grunt trzęsie się za każdym stąpieniem, jakby zapaść się miał, woda zielona i żółta dyszy pomiędzy kępami, na których leżą gadziny, serdecznie splecione z sobą [z oczkami podobnymi do iskierek, z żądłem migającym, gdyby płomyk śniady] — rozpaczne szermierstwa z napotkanymi wrogami, z potu i krwi niemającym przelewem — ran odniesionych boleści — nudy leż długich podczas niemocy, mdłości w konaniu, bo on już kilka razy konał, to w lepiankach na słomie, to na polu bitwy między trupami; i trudny powrót do życia, nim siły znów się zjawia i konia się dosiędzie; a wtedy na nowo gody i uroczystości przy buchających płomieniach, wśród szczęków i łoskotów, krzyku i tętentu za sztandarem powijającym w powietrzu; dniem i nocą szturmy, harce, błędy, ówdzie chwały, ówdzie złota dla siebie, a obroku dla rumaka się nabędzie. Tu zginie przyjaciel; tam kochanka się zdarzy; a niebezpieczeństwo w każdej chwali, a rozkosz idzie za niebezpieczeństwem, bo wtedy dreszcz lubo gra po sercu, drażni piersi, poddaje mocy i pędzi wśród zgliszczów, wpław przez rzeki i piaski, na zabój środkiem hufców, zawsze naprzód, zawsze naprzód. Takim życiem bodajby żyć wieki całe i nie umrzeć

nigdy, mogąc umrzeć co dzień!

Podczas tych słów twarz jego pałała uniesieniem — a jednak nic nie było dzikiego ni w mowie, ni w tym uniesieniu; ani razu nie spojrzął wzrokiem, którym patrzył w bitwie lub wśród pożaru; ani też głos się nie wznosił do owych ryków, którymi oznajmiał wolę swoją na pobojuwisku; ale patrzył i mówił jak bohater, który skromnie opisuje swe czyny, jednak ciągle wie, że mało ludzi tyle razy życie ze wzgardą na łup śmierci rzuciło [a śmierć, przełknięta takim dzielnym życiem, przyjąć go nie chciała].

Maryna słucha ciekawie i podoba sobie w bezdrożach lasu, po których błąkał się Zarucki; w niej samej zarazem tysiąc pamiątek się budzi. Dumanie rozwiódło łagodną barwę po jej licu i czoło krasi wdziękiem niewieściej słabości. W oczach zjawiają się spojrzenia, świętością nieszczęścia zamglone i tym ponętniejsze, iż w nich ciągle błyszczą ogień żywej duszy, która tyle cierpień przeżyła, nie żaląc się nigdy, nie spuszczać nigdy z swojej hardości, aż dopóki wśród kwiatów, kadzideł i harmonijnych dźwięków upamiętała się w swoim statku i rozczulić się dała.

Ku wodzowi, który ją uniósł z więzienia, który dotąd Jej broni i służy, wzrok i serce zwróciła. Niestety! i pierwszy Dymitr podobnie kwitł przy jej boku [młodością], odwagą i szczęściem; podobnie i w jego objęciach marzyła, że całe życie będzie dla niej okazałą uroczystością, a nie podróżą z gruzów na gruzy; a gdzież się podział ów potężny mocarz? gdzie się podział Ów drugi, który chciał stąpać jego śladami? Proch z nich obu dzisiaj, a z Igorem może to samo będzie, bo jemu ta sama przyświeca gwiazda, co wiodła tamtych, gwiazda nieszczęścia i dumy!

Na ten ostatni wyrzut sumienia zbladła wojewodzianka sandomierska i wyciągnęła ręce ku Zaruckiemu, jakby, przerażona, chciała tulić się do niego, jakby, udręczona, chciała głowę schylić na jego piersi i wstyd swój przed Bogiem zakryć; on jej odpowie westchnieniem; dziwnym było to westchnienie wydobywające się z jego szerokich piersi.

Ale bo też w owym trwałym łonie, na którym każdy pierścień kolczugi znak swój wygniótł od dawna, bije serce, którego krew i bitwy same zaspokoić nie zdołają. Trza mu chwil odpoczynku i chwil rozkoszy — któż by wierzył? W oczach wodza młodźców łza nabrzmiewa i pada na rękę ulubionej; on niby się jej wyrzec chce i marsem spoziera wokoło, aż tu druga, równie cicha i niespodziana, zaszklgni zrenicę, znów spłynie po licu, zatrzymując się na zmarszczkach trudami wrytych, zsączać się w bliznę od tureckiego bułatu, i miga na twarzy jak kropla rosy na zgłiszczach pożaru.

Srętność wkrótce jednak inne myśli przerwą i wodza znowu pyta się Maryna,

kiedy zamierza wracać w głąb Moskwy, by osadzić ją na tronie carów.

A rankiem biją przed nimi czołem hany pustyni i perskie bogacze. Zarucki rozsądza sprawy, tego na śmierć, tamtego na życie w łańcuchach skazuje. Rozdaje towarzyszom ziemie i domy, siodła i rumaki. Sam zaś obok lubej płynie po Wołdze, na statku obitym złotymi kobiercy, i miasta wały nawiedza, to w mieście przechadza się pod baldachimem, jako na wschodniego króla przystało.

Czasami także ma zamku palą się tysiączne światła i brzmi muzyka; nie owa pełna słodyczy, dolatująca uszu jak dźwięki w śnie wymarzone, ale huczna, wszystkie przejścia, altany, galerie, portyki zapełniająca, a jeszcze jej nie dosyć, bo i po dziedzińcach się rozlega, mury przeskakuje i dopiero kona z jednej strony na kopułach minaretów, z drugiej na falach Wołgi.

Wtedy niewolnice zdobytych haremów tańczą przed tronem pana i pani, każda podług obyczaju swego, każda w stroju swej ojczyzny, skąd złotem przepłacone wdzięki przyniosła nad brzegi Kaspii na łup wyznawcom proroka. Świeże jak róże Edenu, z okiem rozżarzoną wiecznie, kołują, splatają się w wieńce, to rozrywają swoje szeregi. Lica niektórych dotąd świeżość niewinności krasie, inne już poznały, co rozkosz, i nadal rozkoszy tylko żądają; ona je przepusuje, przepali, na zgniliznę i popiół rozsypie; ale długo jeszcze będą pięknymi, a dziś żaden kwiat zachodniego świata nie zrówna im w postaci, lekkości, urodzie. Po tych błękitnych kobiercach, wśród owych makat lazurowych snują się nieprzerwanie, ich muślinowe szaty trzepocą się wokoło ich kibici jak skrzydła u ramion aniołów. To chmury letnie, przesuwające się wśród błękitu, tkane w słońca połyski! — Raz osobno płyną, niby błędzą w niepewności, aż się zjednoczą i mgła różnofarbna z nich powstaje wśród sali. Ta burza z promieni, uśmiechów, puklów, szarf, welonów, skupiona razem, pędzi na skrzydłach wiatru, lunie deszczem róż i myrtów, zagrzmi dźwiękiem strun i głosami fletów, wręście opadnie u stóp Maryny i rozprysnie się w tęczę jasności od jednej ściany do drugiej. A niekiedy z kosztownego pucharu popija Sahajdaczny wino zaprawione wonią i słodyczami; bo mu trosk brzemie cięży na sercu i nie dosyć tańców, lamp, muzyki, by ta pierś hartowna pamięć stracić mogła na chwilę. Trza napoju, by mózg przewiercić do dna, a wtedy lepiej mu patrzeć i słuchać. Wie on bowiem, że bliskie niebezpieczeństwo, i jego uniknąć nie raczy, choć nie ma nadziei, by go odwrócić mógł lub pokonać; jak tyle razy zdarzało się za młodu. Całe państwo moskiewskie wali się naprzeciw niemu — wczora jeszcze goniec przyleciał i padł z koniem na bruk pałacowego dziedzińca; dobywając ostatniej siły, wyrzekł: „Zbliżają się wrogi twoje, Igorze” — i kod, i jeździec rozciągnęli się raz jeszcze, konając, a potem już leżeli bez ducha.

On byłby dawniej porwał za szablę, zawołał na swoich: „Do siodła i zbroi!”, i poszedł wprost naprzeciw burzy dla spróbowania losu. Dziś równie śmiały, ni go lata, ni wczasy nie garbią ku ziemi; ale już nie ufa szczęściu. Dziwne przecucie

każe mu powtarzać po cichu: „Ostatnie to chwile panowania mego” — bo ludzie, wyżsi nad gmin natchnieniem duszy lub czynami ramienia, bliższe mają spółkowanie z światem duchów i jego poszeptom wierzą głęboko. Zdarza się często, iż takowe przeczucie we śnie się urodzi; czasami we dnie przy blasku słońca, czasami wieczorem wśród tańców i muzyki, nie wiedzieć skąd zleciało: ale to pewna, iż rozgości się w duszy i z niej już się nie oddali, dopóki się wraz z życiem nie rozemdleje w chwili dopełnienia. I w tym przeczuciu jakowaś rozkosz przebywa — niepojęta — pełna smętnego powabu; bo nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi; a dusza, przywykła do niebezpieczeństw, nie lękając się zaguby, nim nadejdzie, pewna, że jej uniknąć nie sposób, to używa uciech życia z podwójnym zapalem, to z uroczystością gotuje się na śmierć, a pośród tych przemian, co godzina, co chwila, siła przeznaczenia mocniej ją krępuje. Nie tylo szczególni ludzie, ale całkie ludy w takowy sposób konają czasami.

Spiesz się więc, spiesz, Igorze Zarucki, nasycić oko wdziękami lubej, [usta jej ustami], nacieszaj się przepychem i zbytkami Wschodu, nie dbaj o to, że za kilka dni może z owych bogactw i całego królowania twego jedna ci pozostanie żelazna koszulka. [Szczęśliwy, jeśli ci własny miecz nie rozprysnie w dłoni.] Bohatry są posłańcami przeznaczenia, wieszczami, których natchnienie wywraca miasta i wytępia ludy — od kolebki do grobu siła ich pędzi nie znana, wszechmocna, której ani wrogi się nie mogą oprzeć w chwili zwycięstwa, ani oni sami w godzinie upadku. Pospolitym ludziom przystało się trapić, kiedy śmierć przewidują, ale nie temu, który z wyższego zrządzenia umiera; a żył w taki sposób, że choćby legł w pustyni lub głębinie morza, stamtąd imię jego zmartwychwstanie jeszcze, by ziemię oblecieć.

A Marynie dotąd śni się o berle i Moskwie; niewieścia wyobraźnia żywszymi farbami świat wystroić umie i jeszcze wśród burzy tęczę nadziei rozwieść po chmurach. W jej objęciach Zarucki innym człowiekiem — posepność z czoła mu precz uchodzi, w ramionach, którymi kibić jej oplata, zdusiłby wszystkich wrogów swoich; ale kiedy przejdzie chwila uniesienia, kiedy nastąpi omdlenie rozkoszy, wtedy znów czuje, że go śmierć czeka.

Żal mu jednak zamiarów, nad którymi wiele nocy przeczuwał i doczekał się białego ranka; wreście schylił głowę przed Bogiem, dalej łudzić się nie myśli — dzieckiem na to, nie mężem być trzeba. „Do upadłego się bronić i upaść” — oto jego ostatnia pociecha; bo w tej ostatniej walce rozwinie wszystkie siły swoje — poznają nieprzyjaciele, jako lew osaczony kona.

Już też i jesień nadchodzi. Słońce nie tak wspaniale krąży po niebie, wichry od Kaspijskiego Morza śpiewają hymn śmierci kwiatom i drzewom, fale Wołgi pienia się od wściekłości, wokoło Astrachanu piramidy piasku wznoszą się i przechadzają w pustyni niby ruchome mogiły. Po zachodzie ogromna łuna

widnokrąg rozpala — rzekłbyś, iż miasto wielkie goreje w oddali; meteory latają w powietrzu i rozpadają się na iskry czerwone, [słysząc szumy w powietrzu, a chmury biją się na niebie jak wojska na ziemi]. Gmin tymczasem szepce o wróżbach i znakach, o powodzeniach i upadku mocarzy i wodzów.

IX

Kozaków z Siczy i Kozaków z Tertku wyginęła moc. Do ostatniego bronił się Zarucki, wreście konia dosiadł i z hufcem młodźców zniknął w stepach.

Wojska moskiewskie zalały oba brzegi Wołgi. Astrachan wrócił pod panowanie carów. Szejn Nikomko Horbroków przywodzi owym tysiącom, które się rozbiegły za Zaruckim, za Maryną. Po pustyniach pędzą Tatarzy i upatrują ślady uciekających; ale nieraz z tej pogoni już do wodza nie wrócą; mróz jeźdźców i konie do ziemi przykuje.

Szwed, który dał się namówić do dalekiej wyprawy, dotrzymuje, jak może, kroku zimie i z ciężką rusznicą brnie po śniegach, brnie w piasku pod spodem.

Moskale śmieją się i powoli stąpają; im niemroźno, im dobrze, im doma wśród zawiei i śniegów. Zaludniły się puszcze; obozy co chwila przesuwiają się po nich; wielbłądy stąpają z białymi namioty gdyby z skrzydłami na grzbietach, świstom wichru na przekór grają trąby i kotły; pod szarymi chmurami błyszczą hełmy; tłum bród moskiewskich, podobnych z daleka do zgrai buńczuków, posuwa się naprzód. Coraz głębiej zapuszcza się wojsko w manowce pustyni. Tak bowiem car Szeinowi kazał, a Szein przykazuje im teraz.

Ale też trupów niemało śladami ich leże na śniegu. Kruki i sępy tańczą nad nimi w powietrzu i rwą ciała na sztuki wśród burzy, popijając śniegiem.

Nigdzie nie mogą wykryć śladu męża i niewiasty, za którymi się uganiają; wiatr, co płąsa w pustyni, ślady owe zaciera. Zaraza szerzy się po wojsku, głód nastanie wkrótce, a zatem wódz każe stanąć, sobie szopę wystawić, przedniejszym rozbić namioty bojarom, nory w ziemi wykopać żołnierzom i pokryć je sitowiem, co po jeziorach tu i owidzie rośnie; a że na siłach opadł, kładzie się na skóry niedźwiedzie i rozmyśla, jakby sobie i carowi dogodzić.

Dzień minął, noc minęła, żadnego powziąć nie zdołał zamiaru. — „Wyginą owe tysiące bez żywności i o takim mrozie; mniejsza o to — ale i ja może gdzie padnę na piasku lub jeśli ujdę zgonu, a wrócę z niczym, w domu zastanę niesławę, co minie u progu przywita; ale mniejsza o nią; więzienia i gniewu jego wieliczestwa się obawiam; żadnych mi nagród nie będzie.”

A zatem zwołuje podrzędnych wodzów i bojarów; oni stoją w poszanowaniu naokoło łoża, wśród ścian trzęsących się od wichru, obitych skórą, porozwieszanych orężem.

— Radźcie — wolno każdemu zdanie powiedzieć. Przysłużycie się mnie, a ja, wiecie, żem u cara pierwszy na urządzie i względzie.

Naciągną się twarze, najeżą się brody, słycać szelest szat, bo każdy rękę podnosi ku czołu i długim rękawem o rękaw sąsiada się zetrze. Radzą i rozważają, jako każdy może: ów rozpacza i zmrożoną pokazuje rękę; tamten spuszcza głowę i mruży pod nosem; najdzielniejsi uśmiechają się, ale uśmiechem zwątpienia.

Horboków wstrzymuje gniew, ale znać, iż wkrótce wybuchnie; więc kilku głos zabierają i wystawiają trudy, które ponieść trzeba: „Nie słyszano nigdy nad brzegami Kaspii o tak ciężkiej zimie; nocy długie, gwiazd jak gdyby nigdy nie było na niebie, toż samo z księżycem. Tumany śniegu jak larwy szturmują do obozu; we dnie chmury czarne, nieporuiszone, chociaż wichur dmie z całej mocy. Jako słońce wygląda, zapomni się wkrótce, przynajmniej u nas; kiedy mróz, to słońce okazale, a gwiazd nie policzyć, tyle się ich skrzy w górze. Gdzież w tej obszerności szukać garstki ludzi? Zostawmy ich na jadło czarnym lisom. Już oni nie wrócą nigdy, by zaburzyć państwo niezwykniętego Michała; może już dotychczas przemienili się w stos kości, a tych nie znajdziemy. Dnia sądnego czekać, aby na jaw się wydobyły.”

Zgrzytnął wódz i spojrział surowo; wtedy młodszy się odezwą z przechwałkami: „Pójdziem aż na koniec świata, lecz wprzód wrócić do Astrachanu trzeba; żywności i prochu zabrakło. Potem gotowiśmy pomrzeć za cara chresne całowanie.”

Nastąpiło milczenie. Płowe oczy Szeina żarzą się jako u chorego tygrysa, w ich spojrzeniach dzikość wojownika, chytrość doradcy zwyczajnie przebija; teraz dzikość wzięta górę. Zadrżeli przytomni, on zagrzmiał potężną pierś, nazwał ich nikczemnikami; ale boleść przerwała mowę; musiał spuścić głowę i jęknąć. Wyrwał sobie siwych włosów garść i sypnął nimi w oczy otaczającym. Wtem usłyszano głosy straży, kłócej się u progu; potem skrzypnęły drzwi szopy i wszedł młodzian bez pytania się o pozwolenie. Ta zuchwałość wszystkich spojrzenia ku niemu obróci.

Nosił się dziwnym strojem, ni szwedzkim, ni moskiewskim, zarywającym trochę na ubiór wschodnich emirów. Szyszak miał stalowy, wygładzony jak lustro, niewyczerpanych połysków, koszulkę z posrebrzanych drutów, spiętą czarnymi klamrami, a na każdej wydłutowana głowa niedźwiadka z arabskim wokoło napisem; spod niej przeziera szata błękitna, kindżał u lewego, bułat u prawego

boku, z pochwą o mnogich ozdobach; naramionach rękawice z futrzanym obszyciem, a nogi żelazem okryte.

Wszedł i nie zatrzymał się, czekając, by mu przystąpić kazano, ale przesunął się między bojarami i stanął o dwa kroki od Horbrokowa.

— Nuradynie murzo, Nuradynie murzo, skąd ta zuchwałość? — szeptali mu do uszów otaczający, a on się uśmiechał tak jak dziecko radujące się z własnej swawoli.

— Niejednego już Tatara kazaliśmy zasmagać na śmierć w karę za krnąbrność— zawołał Szein, podnosząc się na skórach niedźwiedzich i wlepiając oczy w twarz Nuradyna, jakby go przestraszyć chciał.— Wara, choć dowodzisz tysiącem ich i ubranyś gdyby odaliska serajów!

Twarc młodzieńca nie zachmurzyła się na takową przemowę; założył ręce na piersi i czekał, aż przeminie burza, potem rzekł z urąganiem:

— Przez proroka, przez Allacha, Szeinie Nikomko Horbroków, chłopie i sieroto cara Michała, hospodara naszego, tym bojarom, tym zmarłym wojakom precz każ iść stąd. bo ja z tobą rozhovor mieć chcę!

Tu już krzyk wodza, uniesionego wściekłością, i groźby przytomnych wstrzęsły belkami szopy; słycać brzęk sztyletów, wyskakujących z pochw.

Nuradyn murza rozśmiał się, ale już nie po dziecinnemu. Był to śmiech człowieka gardzącego podłą czeredą, znającego swój cel i dążącego k'niemu z niezłomną wiarą w przeznaczenie.

— Wodzu, kiedy oni chuchają w palce, ja moją rękę wystawiam na zęby mrozu; kiedy o odwrocie zamyślają, ja wnoszę, by pędzić dalej: kiedy zwątpili o pojmaniu żony Dymitra, kochanki Zaruckiego, ja przysięgam, że mojej pogoni nie ujdzie.— Teraz komu z nas stąd wyjść przystoi? Czy drżącym od bojaźni i zimna, czy temu, który z pustyni i chmur się śmieje, prędzej lata od sępa, zjadliwiej niż sęp ciało ofiary rwać będzie na sztuki? Ha! przysięgam, że tę niewiastę wykryję i pojme! Dziś już mi donieśli, gdzie ona.

Z krwią najzimniejszą Horbroków skinął na otaczających, by się oddalili; potem rzekł do Nuradyna:

— Głowa twoja, Tatarze, lub głowa Maryny! — i wsunawszy się między skóry niedźwiedzie, słyca ciekawie, co tamten powiada.

— W takowej pustyni o takowej porze zgniją wasze namioty, zmarzną żołnierze, na sitowiu ducha wyzioną bojary i sam wódz może skona; nie z obozem, gdyby

miasto, wojować tu trzeba, ale z garstką, w której każdy jeździec jak strzała, a rumak każdy jak pierze u strzały Maryna już za Jaikiem — na łodzie go przebyła z ostatkiem młodźców.

Obyczajem rozjuszonego zwierza tarzał się Szein na łożu, zwał pięście, nogą pchnął szyszak stojący w pobliżu i zrzucił go z łoskotem.

— Uciekła! Car mi się nie pokłoni, wszystkiemu pospolitemu motłochowli pośmiewiskiem będę! „Jaki z niego bojarzyn!” — powiedzą z mnożnyni natrzęsaniem. Łeb twój z karkiem rozbrat weźmie, Tatarze, za taką nowinę!

— Do moich tysiąca przydaj dwa tysiące kumańskich, a twoją Maryna, a twoim Zarucki!

W głosie młodzieńca nie było żadnego wahania się, żadnej wątpliwości. Nie spieszył się z odpowiedzią Horbrotków; znów skórę niedźwiedzią naciągnął po szyję i dumął.

— Na słońcu mojej waleczności żadnej chmurki nie masz, od kiedy wam służę, wojewodo. Przypomnij owe pacholę, co przybiegło do ciebie, kiedyś stał pod Św. Trójcą — a dziś wodzem jestem. Czymże wyniosłem się? Oto błyskawicą mej szabli.

Wracaj do Astrachanu, tam odpoczniesz lepiej; tam i wino kipi w czarach, tam oczy dziewczyn wrą w powiekach — a mnie poszlij za zbiegami. Po bezdrożach, po manowcach, dniem i nocą ich nie odstąpię śladów; ścigać będę za carycą jak kochanek za kochanką, a choćbym miał gryźć piasek i popijać sokiem piołunu, wytrwam i dogonię!

To mówiąc, ruszał rękoma i całym ciałem; znać, że jego chęci tak żywe, iż nie dosyć mu słów na ich wydanie, a twarz, wycieńczona przez rozkosze i opium, zabłysnęła nadzieją i Szczęściem; nie owym szczęściem błogim, które jest snem namiętności, cichą pogodą bez żadnego wichru, ale owym, co duszę człowieka, jak piorun chmur, zarazem boskim ogniem obleje i rozerwie na sztuki. Oczy jego rozpłomieniły się nad zapadłym? rysami i buchające z nich spojrzenia budują Szeina.

— Dwa tysiące kumańskich przydawani do twoich ludzi, ale przysięgnij: kiedy ja i jego, związanych powrozem, przyprowadzisz do stóp moich, bym ich zawiódł przed hospodara naszego, że przed hospodarem naszym za to o nagrodę bić czołem nie będziesz! Ja, bojar Szein Nikomiko Horbrotków, klnę się przez błahoczesną wiarę naszą, iż sam soroków sobolich trzysta dam tobie w zapłacie.

Uśmiech niewymownej pogardy skurczył usta młodzieńca.

— Przysięgam przez proroka!

— A zatem dziś zaraz wyruszyć możesz.

— I wyruszę.

Po tych słowach poszedł ku drzwiom szopy. Odwołał go Szein.

— Pamiętaj, młody jesteś, byś nie zabył obietnicy swojej! Ta wszetecznicza, która się carową nazywać śmiała, skarbów z Astrachanu, jak gmin gwarzy, uniosła mnożno. Soroków trzysta...

— Śmiech minie bierze z twojej przenikliwości — przerwał Nuradyn.— Dowiedz się, iż twe zrzenice by zgasły na zawsze, gdyby tylko połowę tych kosztowności, którymi ja gardziłem jak piaskiem, oglądać im przyszło.

— Ha! — zawołał Horbroków — o twoim rodzie Tatarzy twoi dziwacznie bają; słyszałem, słyszałem.

I zamilkł, choć chciałby dalej mówić, i nie oburzał się, choć gniewem nabrzmiały mu lica.

Nuradyn znów ku drzwiom postąpił, śpieszy się jak człowiek, Który pragnie wyjść na świeże powietrze z sali godowej, gdzie napój mózg mu zawrócił i rozpalił serce.

— Jeszcze jedno przykazanie, człeku pogański, weź na drogę! — I odwołał go do siebie wódz skinieniem ręki.

Młodzian tupnął nogą o ziemię.

— Po morzu naszej cierpliwości żeglujesz bezpiecznie, a gdyby to nie morze było, lecz tylko jezioro? — zawołał klaszcząc rękoma obyczajem znudzonego dziecka.

— Owa Maryna Laszka czarownicą jest niepospolitą. Bogomodlca archiepiskop Serygiej ogłosił mi zdanie swoje o tej nierządniczy; krasa jej najchrobrsze serce zmiękczy, a ty młody i niewierny!

Na te słowa dreszcz porwał wszystkie członki Tatara, kolana zgięły mu się ku ziemi, sto rozmaitych wyrazów weszło mu i znikło na licach; głos jego, dotąd ciągły, dźwięczny, osłabł teraz i przerywa się co chwila.

— Nie bój się, niechaj mi się pokaże jak hurysa wśród pustyni, ona rajską rosą oblana, rajskie wonie wokół niej płyną — piasek — śnieg — tumany — ona

krzewem róż edeńskich wśród głuchoj puszczy, nad solnym jeziorem, co dysze pod białą skorupą. Przebrzydła owa okolica, i rumak pieni się od strachu, i jeździec nie dotrzyma siodła przed okropnością obrazu. Natura w dzikości swej dzieci swoich się wyrzeka, patrz trupy leżą na żwirze, ot, sama podusiła swe dzieci! Ale ani mój koń, ani ja nie zginę! Jej wzrok będzie mi gwiazdą, jej głos harfą w pustyni może i to być, że oboje przepadniemy na wieki — polegaj na moim słowie — przywlekę ci ją za włosy — polegaj — do Astrachanu — do pałacu twego — z szczerego jedwabiu jej pukle — przysięgłem.

Ani zadrgnął żaden rys na twarzy Horbrokowa, ale słuchał uważnie, bo chciał podejść młodzieńca i wyrozumieć jego tajemnice.

— Nuradynie, nie przy wszelakich zmysłach zastaje cię pierwszy dzień twej wyprawy. Wracaj pod namiot swój i legnij; kogo innego poszlę na brzegi Jaiku, Zgryzł sobie wargę Nuradyn; znać w nim żal, iż popuścił cugle językowi, a zatem przybierze barwę spokojności i zarazem uszczypliwym przekąsem usta nastroi:

— Czasami się zdarza, iż mnie żarty porwą. Zawždy niebezpieczne wycieczki i błędy zaczynam od tego; bądź zdrów, wojewodo, o mojej wierności nie wątp i chwili. Nie poznałeś się na mnie.

Lica jego w tej chwili cechę obojętności przywdziały, znikło gwałtowne wzruszenie, co nim miotało; bawił się to frędzlą od szaty błękitnej, to rękojeścią kindżału.

Nie wiedział, co wyrzec Horbroków, ale boleści coraz bardziej mu dolegają; wicher nabiera siły i tłucze o ściany, słysząc w obozie jęki i odkazywania, a czasami głuchy szczęk rydla o kłęby śniegu i bryły lodu. Znać świeżym trupom świeże doły kopią.

— Tatarze, idź! Rozkazy wydam. Pamiętaj: głowa twoja lub głowa Maryny!

Rękę położył na sercu młodzieniec, zadrżał cały, ale umiał wnet pokryć wzburzenie duszy i ukłonił się nisko, ukłonem niewolnika obiecującego panu wypełnienie jego woli. Tymczasem w oczach jego świetnieje, że dopiął zamiaru i że on, a nie kto inny, od tej chwili jest panem.

Nazajutrz obóz moskiewski zwinięty, wojska wstecz wracają ku Wołdze, a trzy tysiące jeźdźców oddziela się od niego jak kłęb śniegu od śnieżnej zawały i w przeciwną stronę się udaje, ku brzegom Jaiku. Na czele Nuradyn z przepychem szacha jedzie na arabskim koniu; nie pyta się o wicher ni o mróz, co pod kopytami trzeszczy, ale pędzi z uniesieniem wojownika, który jedzie na pewne zwycięstwo, z zapalem kochanka, co za lubą goni, z szalem człowieka

przepalonego od namiętności, który długo udawał, ale dziś już udawać nie potrzebuje, bo zbliża się do ostatniej sceny żywota, gwoli której wszystko poświęcił.

Twarz jego otoczona połyskami hełmu, bijącymi z góry, i połyskami pancerza, bijącymi z dołu. Cała siła młodości, wszystek ogień nadziei pała w zrzenicy; rzekłbyś, iż on szczęśliwy i chwały, i nagród przeczuciem; ale przypatrz się lepiej, a odwrócisz spojrzenie od tego uśmiechu piekielnej rozkoszy, który do ust się przyczepił jak nienasycona pijawka.

a id="filepos174871">

X

Za Jaikiem ciągną się błonia, przeklęte od Boga; wichur jedynym ich jest panem — on tylu niewolników ma na swoje rozkazy, ile ziarn piasku drzemie w pustyni, przeciągłymi świsty budzi je i ożywia, potem, jak mu się spodoba, posyła na wsze strony świata.

Wznosi z nich budowle jednym zamachem skrzydeł i rozsypuje wnet drugim. To piramidom każe lecieć na zabój i kręcić się bez ustanku, to cały przestwór zarzuci mogiłami i z głuchym jękiem przechadza się po cmentarzu. To znowu głos wyżej podniecie i wirami przestrzeń zamąci — sypią się jedne z drugich bałwany piaszczyste jak spienione fale na morzu, a jako ze szczytów fal oderwana piana bryzga deszczem w górę, tak i z onych bałwanów wlatuje proszek białawy i mgłą niebo przestania. Biada żeglarzom, których ta burza napotka, bo wyjdą na rozbitków wszyscy. Żwir, jak ołów stopiony, zaleje im gardła, zrzenice wypali, a ciała pójdą na dno, w sypkie, wiekuiste otchłanie. Kiedy opadnie zawieja, cała pustynia w gładką równinę się układa; rozrzucone po niej wysepki z piołunu; tu i ówdzie czołgają się ciernie, a pomiędzy nimi węże okręcają się z sobą, przeciągłym gwizdzeniem ogłaszając swpo miłość.

Taki obraz okolicy, kiedy słońce wre nad nią latem w pełni swoich promieni — ale teraz śnieg obsypał piaski, rzeka stanęła, szron wszędzie połyska; kilka dni sokołowi lecieć ponad tymi stepami, a wzroku mu nie stanie, zatrzepocze skrzydłami, raz jeszcze się podrzuci i padnie olśniony na biały śnieg wśród gwiazdeczek z lodu. Tam gdzie pustynia, zda się, przylgnęła do nieba, podnoszą się wzgórza, dalej podnoszą się skały — bez drzew, nagie, chude, jakby szkielety olbrzymów, których ród wyginał, a skamieniały kości. Tu dopiero zaczynają się manowce i bezdroża, czernieją paszcze jaskiń, z których snuje się para zjadliwa, granitowe słupy się ciągną, a między nimi kopce ze śniegu; lody, jako blachy, przykuły się do grzbietów i do piersi skał, wąwozy idą naprzód, obracają się w prawo i w lewo, to długim łukiem wracają wstecz i kręcą się bez

ustanku. W tym zamęcie pamięć na mało się zda — raz wszedłszy, długo wyjścia szukać trzeba, o pocie czoła, o krwi z nóg ciekącej; coraz inne przechody wabią fal sobie — tyle skał, ile drzew w borze, wszystkie podobne do siebie jak liście do liści. Po męczących błędach wreszcie zatrzyma się pielgrzym i obejrzy się w rozpaczy, a one zdają urągać się jemu, bo te same, które minął od godziny, dotąd stoją naokoło, jak gdyby cichaczem stąpając za nim, posuwały się, kiedy on idzie, stawały, kiedy i on sitawa; mózg w głowie mu się zakręci, wyda mu się, że one kołem tańczą, wirem go porywają i wciąż niosą pomiędzy siebie bez odpoczynku, bez końca; ale jeśli odzyska zmysły i ochotę, jeśli szczęście mu posłuży, po żmudnej drodze wyjdzie z labiryntu i znów ujrzy pustyni obszar — za nim już zielone błonia.

Nuradyn zdążyła ku owym skałom, bo mu szpiegi donieśli, że lew pustyni tu szuka schronienia; ale czyż on za sobą, by drogi nie zatracić, tak liczne porozstawił czaty? co kilka staj koń przyległ do ziemi i jeździec na siodle niewzruszony się trzyma; z dala miga zbroja, z dala marsowa postać wojownika, ale przystąp, ktokolwiek jesteś, wrógli czy przyjaciel, on cię puści bez szkody, bo ramiona przymarzły do piersi i już od niej się nie oderwą.

Ani raczy się młodzieniec obzierać na towarzyszy, którzy z głuchym stękiem padają, potem już milczą na wieki. Mgły się rozeszły gdzieś, słońce wyrzało. Tysiące udanych iskier błyszczą nad śniegami i przepadając pod kopytami trzeszczą jako prawdziwe iskry gasnące w powietrzu. Nuradyn bez litości hufce swoje porywa za sobą, tak jak chmura w burzy, która wyskoczywszy z ogromu wyziewów, zaprzęgnie się do nich i ciągnie je po niebie.

Wreście oparł się o skały i wrzasnął z radości. Bułat wyrywa z pochwy, śmiga nim w powietrzu i okręca wokoło szyszaku.

— Naprzód — woła — naprzód! Oni tu; i hurysa moja, i przeklęty jej mąż, potępieniec mojego gniewu!

Ale Tatarzy ściągnęli wędzidła, kroku dalej nie postąpią, zaklinają się na grób proroka, że im na siłach zbywa, oczy odwracają i wyciągają ręce ku stronie, od której przybyli. Tam czarne słupy wycierają z białego śniegu: „To bracia nasi! Nuradynie murzo, odpoczynku wołamy! Nuradynie murzo, przespać się noc jedną pod namiotem daj sługom twoim! Dozwól, by na pół zmarłym ogień zajrzał w oczy, skórę oblizał ciepłym językiem!”

— Ha! nikczemniki — zawoła młodzieniec. — Skąd wam śmiałości takowej przybyło? Żeście tu na pustyni wszyscy, to mnie jednego zastraszyć myślicie? Snem to snem, niewolniki moje, a nie prawdą! Niechaj który przystąpi, a głowę zdejmę mu zkarku, tak jak dziewczica serajów pączek róży z gałązki odrywa—

pierwszy lepszy. I ty, Abadzie Sahali — ot! zginiesz jak marny owad; i ty, Mehmedie, już mój koń drży niecierpliwym — lepiej mu deptać po tobie niż po śniegu i lodzie. Zbliź się, Akbareju! a dusza twoja nieboga na mróz się dostanie. Mrugnij okiem, kiwnij palcem, nogę wysuń z strzemienia, Hadżadynie! ruchem ust tyło mi się nie spodobaj, a stąd kindżał wświdruję ci w czaszkę.

I to mówiąc, damasceński tasak wysuwał z dłoni i chował na przemian, jakby zabierając się do jego rzucenia.

Głowę schylili przed wodzem w milczeniu, ale nie ruszyli się z miejsca.

Nuradyn szablę wyniósł do cięcia, konia spiął ostrogami, by wpaść na nich — wtem klinga w drobne kawałki się rozłamie, rękojeść tylko zostanie w prawicy; huk od strzału janczarkowego zagrzmiął pomiędzy skałami, kula leży na śniegu wśród szczątków pałasza.

— Przez Allacha, za mną! — krzyknął i nie obzierając się nawet, czy go usłuchali — za mną, to Zarucki!

Ale kiedy dopadł skał, rumak na nic mu się zdać nie mógł; skoczył na ziemię i z tasakiem w dłoni szedł dalej. Kilkudziesiąt ochotnika pospieszyło śladami jego. Reszta została wokoło wielbłądów i namioty ściągając z ich grzbietów.

Od tego dnia szczękami szabel, strzelbą janczarek rozlegają się wąwozy, pośród skał i filarów z lodu ucierają się mężowie; hurmem Tatarzy walą w bezdroża, ale źle im na nogach, do siodeł wzdychają — o siodłach ani myśleć, bo gdzie tyło spojrzeć, przepaść lub cypel, pieczara lub pochyłość.

Dzielnie broni się Zarucki w ostatnim przytułku. Znać jego wszędy na czele młodźców, wychudłych od znoju i niedostatku, ale serca w ich piersiach nie zdrobniały. Garstka pozostała przy wodzu, reszta wojsk, co niegdyś Moskwę zbiegły pod jego rozkazem, Perejasław w perzynę rozdmuchnęły, Astrachan zdobyły, uciera się, jak może, każdy z nich śmierci niechybnej dniem wcześniej, dniem później się spodziewa; ale nie żał ginąć wobec tak dziarskiego hetmana; on trupa uczci spojrzeniem żalu i słowem pochwały.

Prochu jeszcze wystarczy im na dni kilka, żywność ściągają spod chmur strzelając w dzikich gęsi stada, mech, przyczajony pod szronem, z głazów zdzierają, kłębkami śniegu odwilżają usta, opatrują rany, a czasami jeszcze wśród bitwy dumkę stepów zaśpiewają; śpiewaka nieraz pocisk wkrótce przeszyje, on pada z skały w przepaść, a pierwszy bliższy zaczęta wrótkę donuci.

Tak różnym losem wiodą wstępne boje — to nagle wpadają na Tatarów i chmura nieprzyjaciół w krew się roztopia, to, przyciśnieni, rozsypują się, ówdzie

stali hufcem przed chwilą, a teraz już żadnego nie masz. Tam gdzieś, z tamtej strony opoki, odzywają się szelesty, jakby sto węzów, razem pełznąc, szurowało piersią po ziemi.

Nuradyn pieni się od wściekłości, wyrzuca swoim, że bić się nie umieją, i hojnie ich życiem szafuje to w ciężkich pochodach, to w codziennych harcach. Z obojętnością spogląda na rannych i na poległych. Tak jak wielki człowiek, co nie dba o gminu zagubę, bo czuje, że przez zgon tysięcy dopnie myśli swojej ogromnej! — Ale w nim owa myśl nie w głowie, jedno przesiaduje w sercu; nie wyrze ona skutków na cały naród — może zaginie razem z nim w pustyni, ale dusza jego się spieszy, by się jej pozbyć i walkom swoim koniec położyć, nie dbając o to, czy piekłem, czy rajem, byleby ustały, byleby pokój, rozkosz lub kara nastąpiła; przynajmniej już dzisiejszych uczuć w niej wtedy nie będzie.

A zatem śmierć bliźnich na sumieniu jego nie ciąży. On by kraj cały rozniósł końskimi kopyty, wszystkich ogniem i żelazem wygubił bez zgryzoty, bez bojaźni, nie opowiadając się ni szatanom, ni aniołom, byleby mógł usiąść na rozwalinie i raz tyło do piersi przygnieść tę, która go pozbawiła litości, rozumu, sumienia.

A potem niechaj przed sądem Boga niemowlęta, drobniuchne rączki wyciągając, dziewice, zalewając się łzami, skarżą na niego; on gotów; on nie wie, co to jest sąd Boga, ale wie i czuje, co płomień, który piersi mu pożera.

XI

Na łożu z mchu do piersi ciśnie dziecię niewiasta. Sklepienie jaskini zakręża się nad nią, tu i ówdzie draśnięte blaskami płomienia dogorywającego na szerokim ognisku, zasypnym popiołmi, zasianym węglami.

Niekiedy połysk i na nią padnie, a wtenczas z cienia wychodzą na chwilę rysy wyniszczone chorobą ciała i duszy. Jednak uroda ociąga się, nie chce opuścić twarzy, którą tak długo krasila, woli chronić się do oczu, których jasność chyba wraz z życiem zemdleje.

Ale czemuż synek uściskom matki nie odpowie uśmiechem, nie wyciągnie rączek do niej lub jeśli mu zimno i słabo, nie pożali się westchnieniami i płaczem? Może to sen głęboki? Nie — on by się obudził na pocałunki tej, która go trzyma. Ot! błyskawica konającego ognia oblała twarz maluczką; rysy skrzepłe, drobne ciało sztywne gdyby drzewa kawał. Opuściła go matka, ono spadło na ziemię, potoczyło się trochę i leży jak szary posążek. Nieszczęśliwa skłoniła głowę na piersi i kilka chwil przebyła w zupełnym otrętwieniu, potem wstała i poszła ku ogniowi. Rozciągnęła ręce nad węglami, by się rozgrzać. Szaty jej zawianie płomień wzbudziło i ten wyskoczył ze środka popiołów,

złotym słupem podniósł się ku jej twarzy.

Znać w rysach walkę ducha z cierpieniem; stopniami jednak wyraz rozpaczy ustępuje miejsca wyrazowi tkliwszego żalu, uroczystszej powagi; pamięć o Bogu zda się rozciągać barwę pociechy na czole; powoli kolana naginają się ku ziemi; uklękła, a w czarnych oczach, spuszczonej w dół, cichą modlitwą odmawiają spojrzenia, ostatnie głosy duszy, której boleść przymknęła usta. Potem wzięła ciało w ręce i znikła w ciemnościach jaskini; niedługo wraca z zawiniątkiem i znów siada przy tlejących żarach; na kolanach złożyła dziecko, zawiniątko rozwiązała, połysk drogich kamieni wyjrzał ze środka, słysząc pod jej palcami szelest szmat jedwabnych, taśmy złote i srebrne wysliznęły się i pełzną naokoło.

W jej ręku cienki sztylet błyszczący; raz jej za igłę, drugi raz za nożyce posłuży, różne kosztowności spaja, wiąże z sobą razem, to rozdziera, pruje, dziurkami przeszywa, czasami też bierze miarę ciała, ramion, nóżek, wstążką piersi, główkę, szyję obwiązuje i odejmując, zważa pilnie na długość i szerokość. Z ostatków dawnej carskiej pychy — gieźleczo lamowane srebrem na trupa uszyła Maryna.

Niełatwo odziać nim skościałe cztoneczki; nachyla się matka, całuje zimne powieki: „Pozwól, niechaj matka carowa ciebie, dziedzicu Dymitra, ubierze, jako na cię przystało. W jednym grobie i ty, i nasze państwo legniecie razem na wieki, synu mój, syneczku mój drogi!” I chwyta za rączkę, rączka gdyby z marmuru, i tchnieniem stara się ją rozmiękczyć, i twarz pociera, i trze piersi, a kiedy się zmęczy, znów całuje, przyciska i prosi.

Wreście suknią błyszczącą przyoblekła syna i zaraz do nowej bierze się roboty: z czarnej szkatuły wyjmuje koronę, nad płomieniem trzyma — a kiedy złota oprawa topić się zaczyna, odrywa z niej szafiry, diamenty, rzuca w popioły gdyby iskry nowe, potem coraz to okrąg ścieśnia i niekiedy przykłada do skroni dziecięcia; ale jeszcze za duża, więc znów nad ogniem ją topi i sztyletem wygina; teraz już pasuje mu do skroni; następnie rząd pereł nawlecze i zawiesi u szyi wraz z krzyżykiem rażącego blasku.

Uśmiech smętnej rozkoszy na chwilę usta poruszył, kiedy go ujrzała otoczonym mnogimi połyski; chwała Kremlinu, jak wspomnienie dzieciństwa we śnie dorosłego męża, myśl jej drasnęła; złożyła ciało na pościeli z mchu i marząc, że śpi jej carewicz, nacieszą się okazałością jego.

Ale śmierć na twarzyczce, szydząc z kamieni i pereł, ze złota i srebra, na przekór ich barwom, sine plamy [i zmarszczki] coraz głębiej wyciska. Kroki wchodzącego męża ocknęły ją z dumania.

— Dopełniają się losy Igora i twoje pójdą za nimi — rzeki głosem pełnym stałości. — Dziś ostatni moi towarzysze polegli; kilku, ranami okrytych, zostawiłem w jaskiniach po drodze. Ach! ty płaczesz, moja luba?

I spostrzegł leżące dziecko.

— Błogosław niebu, że na anioła go dzisiaj wezwało. Jutro byłby cara niewolnikiem.

— Boże, bądź pochwalon! — krzyknęła Mary na, podnosząc się nagle. — Masz prawdę, Igorze: on umarł spokojnie, z cicha, bez cierpień; osłabione ciało nie pasowało się z odlatującą, duszą, a ona teraz, suto promieńmi uwieńczona, przyśpiewuje w chórach anielskich i spogląda ciekawie na gwiazdzistą koronę Przenajświętszej Dziewicy. Spij, śpij, synu mój! Ty wrzкомо znaku życia nie dajesz i co chwila na twarzy czarniejszym się robisz, ale ty żyjesz ponad tymi skałami. Spij, śpij, synu mój — hańby nie poniesiesz, pogardy nie doznasz. Sługi twoje dawne nie przyjdą pętać cię w łańcuchy ni urągać się tobie, królewicu mój! Żyłeś w kolebce jako dziedzic potężnego pana i umarłeś, nim dzień ponizenia zaświtał. Igorze, zapał pochodnię— grób mu wykopiemy w głębi jaskini, tam gdzie leżą twe zbroje.

— Dziś ja synowi twemu, a mnie jutro kto? — rzekł wódz posepnie i łuczywo porwawszy z ognia, szedł naprzód, ona z tyłu niosąc dziecko w ramionach.

I szli, milcząc, przez długie przejście, kędy sklepienie, wyrobione trzęsieniem ziemi i pracą czasu, w dziwne to zwężą się, to rozgina otwory, to zdaje się lecieć ku ziemi i w słupie wiszącym zatrzymuje się nad nią; to znów wzbija się w górę i ginie w ciemności, to prosto, gdyby wykute, się ciągnie, to co kroków kilka łamię się kątem, zakręca się kołem.

Wreście doszli miejsca, podobnego okrągłością swoją do kaplicy. Stąd wstecz się tylko wrócić można, dalej iść nie sposób, bo wszędzie zakręza się opoka. U sklepienia przyczepione stalaktyty naśladują gotyckie ozdoby, krzyże, filary, arkady, a pomiędzy nimf przerwy dziwaczного kształtu, to połamane, jak gdyby kamień się rozprysnął, to znów haftowane znać, że długo kropla po kropli tu spadała z wysoka, ale dziś już nie słychać kapania i wyschło już źródło.

Niżej, w wydrążeniach ścian, Zaruckiego ryszturnek wojenny starownie ułożony, kordów kilka, sajdak i łuk, skóra niedźwiedzia i druga lamparcia wiszą u żelzców strzał, dwie janczarki leżą na kamieniu, przy nich bechter stoi, a dalej hełm na siodle, obok siodła karacena nabijana srebrem, z rzędami drogich kamieni.

Sahajdaczny wyciągnął z głuchym brzękiem pałasz — szeroki, obosieczny,

prosty i nim zaczyna w środku jaskini dółkopać. Matka nad ciałem tymczasem odmawia modlitwy. Jej drżącemu głosowi wtórują bryły ziemi rozsypujące się pod żelazem. Niedługa praca — domek ostatni małemu mieszkańcowi rychło stanął w pogotowiu. Rączki na krzyż złożyła Maryna, rączki przyłgnęły do piersi; w całun go potem obwinie, a nim twarz zaciągnęła, jeszcze raz, kończąc *Zdrowaś Maryja*, pocałunek złoży i wyrzeknie: Amen.

Teraz go troskliwie obwiązuje i drogą suknią okrywa; lęka się, by piasek nie zaleciał między fałdy, by żwir gdzie nie gniótł dziecięcia, i własną ręką wygładza dół grobu. A potem głowę odwróci, zatknie uszy i gorąco Bogu się modli.

Kiedy znów spojrzy, już wyrosła mogiła i wódz młodźców, oparty na szabli, duma nad nią. Mogiła czarna, niewysoka, obnażona; serce matki, że jej nie dostaje czegoś, natychmiast poczuło.

— Igorze, miej litość nad nim, znak zbawienia zatknij nad jego grobem! Wtedy uwierzę, iż szczęśliwy, lecz teraz mu jeszcze skrzydeł u ramion nie widzę.

To mówiąc, oczy trzymała wlepione w górze, jakby pomimo wiązania z głazu ścigała za duszą syna w przelocie od ziemi ku niebu.

Zarucki obziera się naokoło i myśli, jakby można zadosyć uczynić jej żądaniu — przez chwilę jeszcze stał niewzruszony, potem idzie ku ścianie i łuk zdejmuje z niej.

— Gospodarko moja! to mój stary towarzysz. Miałem ich dwa; jeden dziś pękł mi w dłoni i rzuciłem go w przepaść — drugi również prysnąć musi.

I zdjawszy cięciwę, nogą tłoczył drewno, dopóki nie rozłupał na dwoje.

— On mi służył po licznych ziemiach. Tatarskie, moskiewskie, szwedzkie z niego przebiłem gardła. Brzęk tej cięciwy był muzyką dni mojej młodości, najdumniejszy wąż pustyni nie umie tak gwizdać jak strzały, które z niej puszczałem — ale dajmy pokój temu, co minęło, a nigdy nie wróci.

To mówiąc, handżarem strugał i ciosał drzazgi łuku; wióry padały na ziemię jako puchy ptasie.

— Słyszałem od wiarogodnych ludzi, że kiedy śmierć bliska, łatwiej człowiekowi przyszłość przewidzieć i duchy ujrzeć w postaci widomej. Czy wierzysz temu, omoja dziewojo?

Podniosła głowę, schyloną nad grobem dziecka.

— Wierzę.

Zadrzał wojownik i rękojeścią sztyletu zadzwonił o własną zbroję — dźwięk, który się rozległ, miłym był jemu.

— Tyle razy tratowałem po ciałach, spałem po zburzonych cerkwiach, po cmentarzach, kędy z rozwalonych kurhanów blade wyzierały koście; pod Smoleńskiem, siedząc na zmarłych trupach wokoło ognisk, z polskim rycerstwem piliśmy roztruchany miodu noc całą.

Nieraz w puszczach, z gwiazdami nad głową, sam jeden błądziłem. Dziwne wprawdzie słychać było szумы, to w zaroślach, to po bagnie, to wyżej między gałęzmi drzew; nie był to wiatr, nie było to skowyczenie wilków ni jęki puchaczów; z tymi głosy znało się moje ucho. Było to coś lekkiego, urywającego się, ledwo się odezwało, a jednak dreszcz, gdyby tysiąc mrówek, biegał mi po barkach i plecach; wytężałem oczy, nadstawiałem ucha, bo ciekawy byłem stworzeń Boga, wyższych nad ludzi, błąkających się po świecie, którym noc jest dniem, mogiły mieszkaniem, wichry są skrzydłami, na których przelatują, całe w bieli, z oczyma błyszczącymi jak próchno, milczące lub w krótkim słowie oznajmujące wyroki niebios, karę, potępienie — czasem też, jak pospólstwo gwarzy, stoją u łoża, na którym grzesznik umiera, i straszne przeczucia w duszę mu kładą.

Nie mało też i po zamkach bywałem; w ciemnych komnatach, pośród starodawnych malowideł, w burkę się obwinąwszy, zasypiało się wtedy. Dziwne sny mnie trapiły, lecz na jawie nigdy nic pewnego nie spostrzegł.

Lubiłem jednak zawsze słuchać o marach i widmach [— bo wtedy nieznanne uczucie miękczyło mi serce; rozpływałem się w nim, jak gdyby w rozkoszy jakiej]. Łzy do powiek się cisnęły, choć to nie było ni miłością, ni żalem, ani też bojaźnią; nie potrzebuję chlubić się z odwagi, insi wiedzą o mnie.

Nieraz jeńcom kazałem zdjąć okowy, wyrok śmierci odwołałem, bo godziną wprzódy starzec lub białogłowa jaka opowiadała mi o duchach wstających z mogił, kiedy wszyscy zasną, a na cerkwi północ uderzy. —

Krzyż już dokończony — cały z drewna, a u końców jego ten sam róg, w który w gryzała się cięciwa. Wódz złożył go w ręce lubej; ona, klęcząc, posadziła go na grobie — i wstawszy, przypatruje się w milczeniu, a małe ramiona krzyża cień rzucają, który spływa gdyby wstęgą czarna po bokach mogiły.

Igor odpiął przebity pancerz i pyszną go zastąpił kolczugą, szablę wyszczerbioną od pasa i zawiesił pałasz o klindze bez skazy, nabijanej hartownymi żyłkami. Hełm wziął z kamienia i wsadził na głowę.

— Gdzież się wybierasz, Igorze?

— Gotuję się na jutrzejszą walkę — ostatnią. Dawniej na gody wdziewałem tę zbroję.

Wtedy zmiana zaszła nagle na licach Maryny. Kibić zgarbiona prostuje się, jako dawniej bywało; i jako dawniej bywało, w oczach, naokoło ust, na skroniach wydatnym się staje, iżże ona jest panią, której świat hołdował, jako zamożnej w potęgę i urodę.

Wyciągnęła rękę ku mogile i pożegnała, jako się żegna z brzegu odpływających łódką w dalekie strony; potem wychodzi i stąpa przodem; za nią Sahajdaczny — a kiedy wrócili do pierwszej jaskini, ona głosem niewzruszonym się zapyta:

— Czyż wąwozami przemknąć się nie mogę? Znasz mnie, jako biegnę po górach i pragnienie umiem wytrzymać w pustyni.

Zarucki nic nie odpowiedział; przez chwilę trzymał głowę schyloną — nie rozpoznać, czy on goni myślą za środkiem jakim, czy też poddał się zupełnie zwątpieniu.

Wreszcie podniósł czoło. Wyraz jego twarzy był świetny w tej chwili, choć nie mówił o chwale ani też o szczęściu; pałała w nim żądza ostatniej rozprawy, zmiękczona przecuciem, że już po niej cisza nastąpi, przeznaczona za grobem w nadgrodeńską skołatane życie, cisza ducha, panującego ziemi z wysoka i przysłuchującego się głosom ludzkim, szemrzącym o jego sławie — w oddali.

Porwał Marynę za rękę i wywiódł z jaskini. Zewsząd wieńcem, ciasnymi przejściami rozerwanym, okrążają ich skały. Ramieniem wskazał w górę — po wszystkich szczytach buńczuki tatarskie zatknięte pływają przy powiewach wiatru, jak grzywy biegnących rumaków, a nad nimi żarzą się półksiężycy oblane światłem czerwonym; bo tam gdzieś za górami zachodzi słońce.

Wzrok obraca dokoła — co wierzchołek, to znak nieprzyjacielski; słycać czasem wrzaski w odległości; zrozumiała, ale przeto nie cofnęła się przerażona ni płaczem niewieściej dowiodła słabości.

— Taki więc miał być koniec Maryny Mniszchówniej—rzekła wolnym głosem, bez goryczy, bez żalu, z powagą, która wodza młodźców do jej stóp rzuciła.

— Maryno —krzyknął z uniesieniem, a twarz mu jaśnieje od męstwa, w prawicy miecz ściska — i ja kiedyś byłem wielkim, i mnie dni pychy się zdarzały, ale nigdy, czy w złych, czy w dobrych losach, twej nie zrównał duszy!

I rękę jej do ust przycisnął. Nie było to gorącym pocałowaniem kochanka, ale

hołdem uwielbienia. Oboje wrócili do jaskini. Igor tlejące węgle mchem rozżarzył. Dwa sajdaki rzucił i pęk strzał w ognisko.

— Niegdyś byłbym, to czyniąc, kilkadziesiątu wrogów udarował życiem. Palcie się, palcie, strzały moje, płomieniem przysłużcie się panu, kiedy już wasze żelazca i pióra na nic się nie zdały; w dym i perzynę lećcie, strzały moje; mróz z członków mi zdejmcie! Jutro jeszcze ich kilku trupem obalę.

Przy ognisku zasiadł, a na jego ramieniu głowę oparła Maryna; za każdym słowem tchnienie jego po włosach jej buja, ręką opasał jej kibić, niekiedy po cichu na uściech pocałunek złoży. Ale już minęły owe czasy miłości pijanej rozkoszą chwilową i nadziejami bez końca. Wtedy żywe bywały rozmowy, iskry w oczach nie gasły, rumieniec gorączki nie schodził z lica. Do uścisków mieszały się westchnienia, pośród nich mózg się zakręcał, drżały kolana, serce to biło, jak gdyby od piersi oderwać się chciało, to znowu, ciszej się kołyszając, omdlewało, jak gdyby na wieki. Dziś on ją kocha równie mocno i jej miłość wyżej ceni niż kiedykolwiek wprzód; ale o kilka kroków przed grobem zadumał się o grobie. Uroczystość zwykła tym, którzy nie lękają się zgonu, a wiedzą pewno, że gardło dać trzeba, zastąpiła dawny jego zapach. Śmierć jest świętością nad świętościami. Jej zasłona migająca w cieniu, nim człowieka obmroczy dokoła, już mu dostojność nadaje — bohater w ostatnich chwilach żywota jest kochankiem wieszczów — a kiedy opona zapadnie, pod jej całunem na wieki wieków giną drobne plamy, wróg sam nie śmie ich wspominać, siedząc na zabitego mogile, a promienie chwały zostają w górze i unoszą się nad światem.

— Dlaczegoż widma nie snują się naokoło? — ozwał się Zarucki — przecie już niedaleko do wschodu słońca, które ostatni raz swoją szablę obaczy w powietrzu. Dzisiaj jeszcze pora wam, duchy — dajcie przestrozę pielgrzymowi, który się wybiera w nieznane manowce! Nie byłem ja owadem podłym na tej ziemi, nie czołgałem się pomiędzy ludźmi, ale wyżej od ich głów rozpuszczałem moje loty. Znacie mnie więc, jako znacie błyskawicę wśród burzy!

Umilkł, bo uczuł głowę Maryny cisnącą się do jego łona, jak gdyby, nie mogąc się oprzeć trwodze, przytułku szukała.

— Nie drzyj, gospodarko moja miła! zbliżamy się oboje ku nieznanym krainom — jakom cię strzegł i bronił po ziemi, takż i w nich nie opuszczę ciebie, jeśli Pan Bóg dozwoli.

Tu zamilkł po wtóre i długo milczał. Pałą się pociski, już ostrza się rozczzerwieniły, dym w żałobnych chmurkach wznosi się w górę i gdzieś między szczeliny opoki się wkrada.

Milczenie zaległo całą okolicę. Ani Tatar, ani szakał się nie odezwie, ognisko

tylko brzmi różnymi głosami — to rozłupie się drzazga i sypnie iskrami, to stopione żelazo zaszumi, padając na węgle, to płomień syczy, okręcając się naokoło drewna, to popiół zsuwa się niżej z tłumionym szelestem.

— I jeszcze was nie ma — zawoła hetman niespokojny — w godzinie upadku i klęski nie raczycie spojrzeć na mnie! Czyż i wam, jako ludziom, trza przepychu i fortunnych losów? Towarzysze moi, synowie stepów jako ja, wy, którzyście odpadli od mojego boku w setnych bitwach na wzór liści od pnia dębowego, pokażcie mi się!

Bohaterzy, mistrze mojej młodości, których widziałem krótkimi gośćmi po rozlicznych tronach i ziemiach, Dymitrze, Rożyński, Sapieho, pokażcie mi się! Pamiętam owe dni, kiedy głowy z karków nieprzyjaciół, chorągwie z wież miejskich zlatywały ku waszym stopom, ale i wam też powodziło się do czasu tylko. Jako ja po was marnie, takóście wszyscy przede mną zginęli!

Wrogi, które własną ręką pomordowałem w boju, żadnego z was nie zgładził ni trucizną, ni handżarem w plecy, ale strzałą z daleka lub pałaszem z bliska! Teraz już między nami winna nastać zgoda. Zstąpcie ku waszemu zwycięzcy, który w tę samą wybiera się drogę, w jaką sam popchnął was przed laty.

Jęk z zewnątrz wleciał do jaskini i rozległ się żałobnie pomiędzy jej ściany. Maryna oczy wlepia w otwór naprzeciwko, słupem stanęły jej oczy; wyciągnęła ramiona, jakby coś odepchnąć chciała, lecz nie rzekła i słowa — nie wydała żadnego krzyku.

Na progu jaskini, wśród słabych połysków ognia i pasm cienia, miga zbroja i widmo jakoweś czernieje — chwilkę postoi — potem wlecze się ku Zaruckiemu krok za krokiem, potykając się i jęcząc, a im bardziej się zbliża, im w jaśniejsze okęgi wstępuje, tym okropniejsze się wydaje.

Stąpa, jakby co chwila w dół zapaść się miało. Twarz blada i krwią zbryzgana, włosy przyplaszczone do skroni, chrzest zbroi na piersiach się odzywa, ręką jedną bok trzyma, drugą wstrząsa gwałtownie, jak gdyby grozić chciał lub wzywać ratunku.

Igor wzdrygnął się cały.

A ten, który szedł ku niemu, już stoi z tamtej strony ogniska, czerwoną jasnością obłany; szmaty blachy kołyszają się u ramion, u szyi, u piersi i odrywając się, padają na ziemię. Zrzenice jak szron przystygły do oczu, usta się ruszają, ale ich głosu nie słychać. Nachylił się dwa razy i dwa razy się wyprostuje z przeraźliwym stękaniem. Ziewnął i głowę podał w tył, ramię wyciągnął, jakby dla odzyskania równowagi, i głowę podniósł, ale nie zdołał jej utrzymać i spuścił

na piersi.

— Atamanie, jutro o świcie pogany tu — nasi w jasyrze u nich; wziąłem szablą w łeb, włócznią w biodra, kulą w bok, cały nie mogę...

I podrzucił w górę oba ramiona na wzór tonących.

— Hrehory umiera, niechaj żyje Igor Sahajdaczny! I upadł na plecy. Ostatni krzyk jego był pożegnaniem

wodza i odgrózką wrogom — on rozbił się o głazy jak łoskot pancerza, co pęka od tęgiego razu.

Porwał się Zarucki i obszedł ognisko. Na ziemi leży Kozak, rozciągniony jak długi; krew jeszcze pluska z czoła i z piersi, ale zresztą żadnego ruchu nie dostrzec w ciele. Wódz pojrzał nań wzrokiem przyzwyczajonym do takowych obrazów. Barwa oczekiwania z twarzy mu zeszła — on myślał, że to duch, który rozwalił mogiłę, by gońcem innego świata stawić się jego wezwaniu, a to człowiek, co się przywłókłby donieść o ziemskiej wieści, i umarł.

Ale ten człowiek wśród bólów i konania o hetmanie swoim pamiętał jak syn o ojcu, po śniegu się zataczał cały w ranach, by raz jeszcze wykrzyknąć jego imię przed nim samym.

Za tę wierność i kochanie Zarucki ścisnął rękę martwemu i rzekł, jako zwykł był mawiać nad trupami swoich: „Wieczny odpoczynek tobie Hrehory! Byłeś dzielny w boju." Potem znów się położył na ziemi przy struchlałej Marynie.

— Anioły i duchy przymknęły uszy na moje wołania. Znać, grzechy moje stanęły wałem między nimi a mną.

Życie jest marną bitwą, w której człek nigdy z konia nie zsiada i walcząc bez ustanku, wreszcie przegrać musi. Nie żałuję życia; ale ty, dostojna i hoża, zrodzona, byś ludziom panowała, krwawisz mi serce widokiem tyłu wdzięków, które zaginą przed czasem, bo na jutro pewna zaguba.

— Ci, którzy państwami rządzą, nie wschodzą i nie zapadają gwiazd codziennych trybem — odrzekła, wstrząsając pierścieniami włosów, z płomiennym spojrzeniem — nasze urodzenie i śmierć zarówno jest podziwem dla ludzi; w tym niechaj będzie nasza pociecha! — Ale tu głos się zmienił nagle i reszta dumy odpadła od czoła. — Na mróz i głód nie brakło mi wytrwałości, na zgryzoty i utęsknienia szerokie nosiłam serce, a teraz, kiedy rozleciało się ono państwo obszerne i prześliczne, obfite w zboża i męże, i złoto; kiedy komory pałaców moich na jaskinię się przemieniły — nie płaczę, nie szlocham, ale poczekam odrobinę jeszcze, póki przyjdzie zwycięzca i mnie urągać się będzie,

a wtedy unizony pokłon oddam Panu w niebiesiech i z tego świata usunę się na wieki.

Kiedy świtać zaczynało, wódz młodźców porwał za szablę i rusznicę, objął ramieniem kibić Maryny i w głąb jaskini się zanurzył; ani brał się już drogą wiodącą ku mogile dziecięcia, ale inną zupełnie, w bok tej pierwszej. Słabe światło zaziera przez otwory i szczeliny, gruzów pod nogami niemiara, zgiełk wiszący urwisk nad głową, słupy, szronem okryte, jak larwy bieleją. Czyż on żywcem do grobu zstępuje z kochanką?

Wtem jaśniej się zrobi, płachta światła, jakby oderwała się od niebios i skałę przebiła, leży na dolnych gładzach, zewsząd otoczona cieniem; nad nią rozerwane sklepienie i widać przelatującą chmurę.

Tu Zarucki ścisnął rękę carowej i wstępując schodami, które czas wydłutował w ścianie lochu, wiódł ją za sobą, przebył otwór w górze i wdarł się na wierzchnie sklepienie.

Niebo całe szare od obłoków, u wschodu tylko zorza ognisko rozpała swoje i czeka słońca; gdzieniegdzie błękit przebija, chmury już się nie trzymają razem, ale jedne za drugimi pędzą, przecucie wiosny w powietrzu rozlane. Wszędzie naokoło podnoszą się skały, śniegiem ubielone.

Hetman wie dobrze, dokąd zmierza; ani spieszył się jak zbieg, ani zastanawiał jak zbłąkany wędrowiec — ale równym stąpa krokiem, pilnuje towarzyszki, a zarazem okolice przebiega oczyma. Jeszcze buńczuki powiewają na tych samych cyplach, dotąd nie słyhać ni głosów, ni szczęków. „A więc dalej, a więc dalej, ku tej skale, co się stromymi piętrami wzbija nad jaskinią jak wieża nad zamkiem — u jej szczytu raz ostatni walczyć i zginąć chcę!”

I jak gdyby fale ogromnej powodzi, lecącej z góry, nagle skamieniały, w takowy sposób piętrzy się skała, to wydymając pierś swoją, to wziewając ją nazad; po tych szczablach z głazu wdzierali się oboje. Doszedłszy krawędzi najwyższej, zasiedli i patrzą na świat, co się pod nimi i nad nimi rozciąga, wzrokiem pożegnania. Stąd objąć mogą tę całą warownię natury, która wznosi się z łona pustyni. Cisną się tłumem opoki, rozdzielone tu i ówdzie przepaścią. Ich ostrza to skupione, to rozerwane, to ząbkowane jak baszty, to śpiczaste jak minarety, to wzorem kopuł spłaszczone. Największa ich część nie naśladuje żadnych kształtów, ale pną się w górę, obwisłe śniegiem, najeżone lodami, łamiąc się w kąty, zaginając się w łuki, z dziką wspaniałością. Wschodzi słońce nad krańcem pustyni, piaski zapłonily się, zatliły się szczyty; a ono ogromne, krwawe, pośród pożaru chmur się wznosi.

Wtedy jedną razą ozwały się krzyki, nawoływania i hasła. Głosy te grzmotem

rozlegają się pomiędzy skałami i jak burza owiały hetmana dokoła.

— To dzwony pogrzebu naszego — rzeknie z cicha i rusznicę opatrzy, lufę obciera z rosy, by składniej celować mógł.

Z okolicznych gór sypią się hufce, z okolicznych wąwozów występują rotę; to idą naprzód, to się cofną, to gromadzą się do kupy, to rozchodzą, to ciągną jednym szeregiem, to małymi oddziały — znać, że wodza szukają. Jemu, spoglądającemu z wysoka, zda się, jak gdyby ludzie owi, nagłą tknięci ślepotą, zataczali się, drogi znaleźć nie mogąc.

— To orszak naszego pogrzebu — rzeknie z cicha i zaśmieje się gorzko, szablę wyciągnie z pochwy i położy przy sobie; kindżał przymocuje, by nie zleciał w chwili zapasów — i oczy utopi w Marynie, by przed zgonem nacieszyć się jeszcze ową gładką twarzą, na której niebezpieczeństwo i jednego zmarszczka wycisnąć nie zdoła.

Wrzask nagły podniósł się od dołu; wnet strzał chmura i garść kul rozbiła się o skałę pod stopami Zaruckiego.

— Zobaczyli nas — rzekł spokojnie.

Wzdrygnęła się pomimowolnie Maryna i krzyknęła w obłąkaniu:

— O Polsko, Polsko, gdzież jesteś, o Ojczyzno moją! Ale ta słabość chwilę trwała tylko. Podniosła się i promieniami słońca oblana, spogląda na zbliżających się wrogów. Oni wdzierają się, któredy mogą, i znów milczą tak jak chmury przed burzą.

Wdzierają się i po śliskich tarzają się głazach, niejeden runie w dół, by nie powstać więcej; odwalają gruzy, czepiają się wystających słupów, rozbijają ostrza lodu, pasują się z urwiskami, dobywając sił wszystkich, jak gdyby na polu bitwy z wrogiem; na próżno; co ujdą kroków kilka, zsuwają się nazad na kłębach śniegu — wyginają ciała, rozciągają ramiona, by się utrzymać, klną proroka od złości i bólu; na próżno, na próżno — skała odpiera ich ciągle; obchodzą ją i szukają z innej strony przystępu, nie znając drogi, którą przeszedł Zarucki. A on, siedząc na wysokości, spogląda na nich jako człek zwyczajny pracom ludzkim, w pocie i krwi odbytych; a które długo na nic się nie zdadzą. Zresztą nie znać w jego oczach, by się unosił weselem dlatego, iż oni męczą się i konają; on wie, że wcześniej czy później, po wielu trudach i zgonach, dojdą cyplu, na którym ich czeka, a nie tyle kocha się w życiu, by cieszył się przedłużonym o godzinę.

Wrócili się i u stóp skały stanęli niewzruszeni; słysząc głos jakiś, co do nich przemawia; a w ostatku jego dźwięków, które wiatr przynosi do Zaruckiego,

znać jeszcze wyraz gniewu i pogardy, potem przerywane wołanie, niby rozkazy, niby odezwa do każdego po imieniu. Teraz już wszystko ucichło; ale spomiędzy czarnej ich masy występują męże i w mały hufiec się gromadzą, jak odrywająca się chmura od gęstwiny zbitych obłoków, kiedy się jej zachce własnych lotów próbować po niebie.

I w mgnieniu oka, rozsypawszy się na szereg długi, zaczęły się wdzierać — wszyscy czarni, po białym śniegu — co chwil kilka przerzedzają się; ów zniknął i śladu po nim nie masz, tamtemu głowę jeszcze widać nad śniegiem, ten potknął się i leży bez ducha; ale kto szczęśliwszy, ale kto zręczniejszy, ten wspina się w górę; już zbroję na każdym rozeznąć można — rysów jeszcze nie.

A ten, który drze się na czele, dziwnie szybko uwija się pośród przeszkód niebezpiecznej drogi. Skacze na zabój i nie padnie nigdy, ślizga po lodzie i bieży po śniegu, jak gdyby anioł stróż trzymał go za włosy; rzadko spojrzy pod się, ciągle oczy w cypel skały wlepia, a gdzie otchłań z boku, on nachyla się ku niej, a gdzie doły, tam nie odwraca się od nich, ale pędzi prosto i przesadza je w pędzie — w rękę trzyma szablę. Towarzysze podpierają się na włóczniach i bułatach; on jeden swojej klingi śniegiem zmazać nie chce, ale wstrząsa ją nad czołem i poi w słońca promieniach. Zawój lśni mu się futrem i połyska diamenty, kolczuga to samo, a co chwila woła na swoich ostrym, przeraźliwym głosem, każe spieszyć za sobą, szydzi z ich ostrożności, a kiedy który się obali i zlatuje w dół, on jeszcze głośniej się urąga.

— Bądź mi zdrowa na wieki! — rzekł Zarucki, podnosząc się z siedzenia i przykładając rusznicę do oka; ale wnet ją spuścił w dół.

— Czas jeszcze przypomnieć się Bogu. Przykląkł, strzelbę odsunął, pałasz złożył na ziemi, kindżał odpasał i rzucił o dwa kroki od siebie:

— Słyszałem, że Zbawiciel, który dał się ukrzyżować za nasze winy, nie lubi tych, co Go orężnie wzywają.

Przy nim, w milczeniu, uniżyła się także przed Stwórcą Maryna.

Modlitwa hetmana krótką była; w pokorze schylił czoło, dłonie ścisnął gorąco, prosił o przebaczenie w duchu, ale mało słów wyrzekł, jako przystało na żołnierza, co przewalczył życie i pacierzy zapomniał wśród bojów.

A kiedy powstał, z lepszą otuchą pojrzał ku następującym wrogom i wziął się do broni. Dwa razy wystrzelił — dwa jęki usłyszał i dwa trupy zśliznęły się na dół, jak pnie ścięte, spuszczone z góry; nie ma już czasu nabić rusznicy, a zatem rzucił ją w przepaść — ona to głucho szuruje po śniegu, to z brzękiem rozbija się o głazy.

Szablę wyciągnął przed się, Marynę własnym ciałem zakrywa. W tej chwili bił mu z oczu blask płomienia, jaki boje w sercach wojowników zapalają. Nie była to wściekłość ani też krwi pragnienie; nie był to zawrót mózgu w niebezpiecznym razie; ale wyższość umierającego bohatera nad zwycięzcami; ale przeświadczenie duszy u progu wieczności, iż nie na próżno błąkała się po ziemskim wygnaniu. By stanąć przed Tym, który ją zesłał, jednego trza podrzutu jeszcze. Patrzcie, jak z nieustraszonym sercem zabiera się do niego: piersi wystawił na groty, nogę wrył w ziemię i posągiem stoi. [Dojrzyj na licach jednego znaku wahania lub trwogi, a lutnię moją rozbiję na wieki!] Lewą ręką z tyłu dłoń ukochanej trzyma — chwila jeszcze, a osaczą go wrogі.

Wódz ich dochodzi już cypla, ale żadnemu strzały wypuścić ni kuli nie daje. Znikł pod wysuwającą się opoką — uchwycił się wiszaru i wnet ukazał się na niej.

— Poddaj się, Igorze Sahajdaczny Zarucki!

I to mówiąc, szablę spuścił w dół, swoim przykazał ta samo. Ale nie miłosierdzie ni uwielbienie ku zwyciężonemu przebija z jego liców; zasepione ma czoło; a namiętność jakowaś goreje w zrzenicy.

Hetman zbył go milczeniem i wynosi ramię do cięcia; wtem uczuje drętwiejące palce Maryny i pomimowolnie się odwróci, a ona, blada, oczy przestoniła ręką i powoli nachyla się, mdlejąc. Rozśmiał się Nuradyn murza i klasnął w dłonie.

— Ha! poznała. Bierzcie go, bierzcie ją! Dla niego męki, dla niej czwarty mąż.

On spuścił głowę na piersi i rzekł głosem rozpaczy:

— Bóg wie, czym każe grzechy mojego żywota — śmierci się nie lękałem, aż On zesłał na mnie hańbę niewoli.

XII

Jak mogli, tak zmykali Tatarzy od skał, od wąwozów. — Już też pogodniejsze niebo, słońce przygrzewać zaczyna, śnieg topnieje i wsiąka w piasek pod spodem — a nadzieja, że u brzegów Jaiku zastaną gońców z Astrachanu i ojuczone wielbłądy, dodała im ducha.

Przebyli rzekę po lodzie. Na tamtej stronie wódz kazał położyć się obozem, wielbłądy i gońce z Astrachanu już czekali na nich — a zatem rozbiją namioty, ogniska rozpala, biorą się do mięsa i ryżu, wina i wódki nie żałują sobie,

wrzeszczą, a kiedy godzina modlitwy nadchodzi, bluźnią Bogu, śmieją się z proroka i piją? dalej.

Na piaszczystym wzgórzu, z którego wiatr zmiótł śniegi, stoi namiot Nuradyna podparty słupami, długi i szeroki, obity skórą, z kopułą malowaną w połyskujące barwy, z półksiężycem nad nią.

Stąd widok na cały obóz się roztacza, na pustynię aż do krańców widnokregu i na brzegi Jaiku, snujące się w bezustannych zakrętach ku morzu, i na szare morze w oddali.

Dotąd wódz nie rozmawiał z swoimi jeńcami, przynajmniej nikt nie widział go razem z nimi; on jechał na czele swoich hufców, ich prowadzono z tyłu: męża w łańcuchach, niewiastę w taśmach z jedwabiu, jako był przykazał na cyplu skały.

A kiedy stanął na miejscu, krótkim słowem oznajmił swą wolę, by każdy odpoczął i hulał; sam wszedł do swego namiotu i już nie ukazał się więcej. Nade dniem tylko kilku śpiących u stóp wzgórza Tatarów wokół ognia, wśród rozrzuconych resztek biesiady, przebudził nagle hałas jakowyś; ciekawie, na pół rozmarzeni, wyteżyli uszy: brzęk kajdan słyhać było i głos Nuradyna; ale słów żadnych nie można rozeznąć — potem głuchy jęk nastąpił. Wzdrygnęli się słuchacze i wszyscy razem pomimowolnie zawołali: „Allah!” — łoskot padającego ciała na nowo przymknął im usta.

Wszystko ucichło; oni czekali jeszcze, ale niczego się nie doczekali, zatem każdy wychyli czarę i znów oprze głowę o siodło, by zasnąć

Teraz to południe; słońce na niebie z chmurami się zabawia, to do piersi je tuli i na pół świeci tylko, to rozgania je i błyszczy w całej okazałości. Środkiem obozu zbrojni strażnicy wiodą niewiastę, długim zastonioną welonem, broniąc jej od ciekawych spojrzeń zagrodą z dzid i szabel, spiesząc się, o ile tchu im stanie. Przeszli obóz cały i wstępują na wzgórze, zakłaczają do namiotu; podniesie się opona i wypuszczą spomiędzy siebie tę, którą dotąd trzymali; potem za usłyszonym rozkazem oddalą się nazad i rozsypią na różne strony. Ona weszła z głową schyloną, jako przystało królowej bez królestwa, niewieście bez towarzyski, chrześcijance wśród pogan, Polce wśród służalców Moskwy — ale czyż to sen objął nagle jej zmysły? czy już świat pożegnała i zapomniawszy o śmierci, dostała się do krainy czarów? Zewsząd wiązki światła różnofarbnych krążą, zlatują, śmigają, woń kadzideł oblewa ją, raj kwiatów otacza dokoła.

Pod jej stopami kobierce naśladowują zieloność murawy, diamenty — rosy przejrzystość i krople; u ścian piętrzą się obicia przetykane wieńcami róż, fiołek, jaśminów i gałęzi, na których malowane ptaki prześliczne roztaczają pióra, a z góry pada światłoienne; ale nim dojdzie oczu, przekrada się pośród

muślinów i jedwabiu, długo błędzić musi po haftach ze złota i srebra, ślizgać na perłach, wyssać błękit z ametystów i rubinów purpurę, a wtedy, całe pijane od farb i połysków, na dół się stoczy i płąsa w drżące łuki, którym końca nie masz; one biegną dołem i wspinają się nazad, wypuszczając z siebie okręgi, iskry, rozkwitania i życia pozór owym udanym haftom nadając, a promienistymi sieci cały namiot kratkują, od góry do dołu zalewają potokiem jasności, która płynie szkarłatem i błękitem, zieleni się jak szmaragd, to złoci jak pomarańcza i do oka wpływa mile, bez rażenia, bez olśnienia, gdyby tysiąc motyli igrających razem po trawniku, kiedy słońce już nie parzy, a zachodzi w zlocie, księżyc zaś naprzeciwko się podnosi, lamowany srebrem, a między nimi dwoma ujęte chmury hożym wieńcem oplatają niebo. O takowej godzinie chciałoby się zasnąć z rozkoszy na wieki.

Jakoż temu, który leży na owej sofie w głębi pod oponą z jedwabiu, znać z oczów, że marzy o miłości i śmierci; bo choć lubieżny uśmiech usiadł mu na ustach, bo choć tyle wzruszony, iż bliskim rozczulenia się wydaje, dosyć raz przebiegnąć owe rysy naciągnięte, rozognione rumieńcem gorączki, by wyczytać, iż śmierć niedaleka mu grozi, a to nie łagodna, na spokojnym łożu, ale taka namiętna i rozpasana w boleściach, jak rozpasanym było jego życie w chuciach i czynach.

Leży na pościeli; ale trudno mu doleżeć jeszcze chwili na nim, choć pragnie się wstrzymać i krwi zimnej dowieść, bo wie dobrze, iż spotkał się z duszą pełną statku i hartu; bo chce inakszym się pokazać, niż był przed laty; nie już po dziecinnemu i prosić, i domagać się, ale jako na męża przystało, znagłać i rozkazywać.

Na próżno, na próżno! Jakąż siłą potrafi zaprzeć w siebie ten dreszcz, który po nim bieży? Krwi bijącej nie odpłoszy od serca, od skroni żadnym sposobem; on, syn pustyni, ssał promienie jej słońca w kolebce i z nich spieka na zawsze została się w łonie. A zatem zgrzytnie i rękoma uderzając o łożo, odeprze się od niego — skoczył, stoi wśród namiotu naprzeciwko niej. Tu jeszcze walczył z sobą samym, ale nie zdołał wystroić liców w pogodniejszą barwę. Tu jeszcze drżące załamywał dłonie, chcąc im nadać pozór niewzruszoności, ale krew coraz zażarciej wre mu po żyłach; by zmysły odzyskać, głowę na chwilę odwrócić usiłuje. Ale nie potrafił, bo siła namiętności trzyma zrzenicę jego wlepioną wprost naprzeciw. Poznał, że nie poskromi ognia, który w nim bucha — a zatem rzucił się jak wściekły, zasłonę rozdarł i oderwał z jej skroni, i zatrzymał się dysząc, z potem na czole, z obłąkanym wzrokiem, do szczętu znękany.

A ona wciąż zachowuje milczenie i z zwykłej powagi nic nie spuszcza. Wprawdzie na jagodach znać ślady łez i smutek; ale kiedy te łzy wylała, o tym nikt nie wie; a teraz suche ma powieki i oczy posępne od wzgardy. Nuradyn

wpatrywał się w nią i długo, i długo. Dziwna, że tak nagle się uciszył — głos mu zasnął w piersiach, ruch zasnął w twarzy i ramionach, jedno spojrzenia, zawsze równie mocne, sypią iskrami na lica Maryny, i z czoła mu wyczytać snadno, iż w duchu głęboko się namyśla; zapewnię nie trybem ludzi, którzy ważą na szali roztropności zamiary i doszedłszy brzegu przepaści, wahają się nad nim, ale tak jak godziło się jemu, który nigdy żadnego uczucia nie rugował z duszy, o przyszłość nie dbał i duszę za pole bitwy oddał namiętnościom, a tej, co zwyciężyła, hołdował zawsze i sercem, i ciałem.

Zapewnię teraz w nim podobna odbywa się walka, a promienie różnofarbnego światła, igrając po zielonej szarfie, ziarkowanej złotem, po kaftanie i mieniącym się futrze, po białym zawoju, twarz mu najmiłszymi oblewają tęczami. Wreszcie lica jego znów wyrazu żywego, zmiennego nabiorą, głos do ust się ciśnie i mówić zaczyna — słowa jego muzykę naśladują, ani jednej ciągle trzymają się miary, ale przechodzą od tonów pieśni słabej, ginącej w oddali, do dźwięków wojennego pienia, brzmiącego ponad szczątkami broni i zwłokami poległych — w ustach zwycięzcy.

O Agaj-Hanie nikt nie słyszał od dawna — pamięć pacholęcia zaginęła, jak gdyby to pacholę przypomnieć się nigdy nie miało; prawda — on był lęklwym, kochał panią i służył wiernie; śmierci za nią się nie bał; nawiedzał ją pod czarnym sklepieniem. O jakież z niego dziecię było wtedy! Precz mi z tym wspomnieniem — niech ono będzie dla mnie jak skóra dla węża, kiedy ją odrzuci, a w nowe ustroi się szaty. Hej! wąż wtedy śmiga i syczy w radości, bo mu jadu przybyło, bo w pierścieniu ze srebra i złota oblekł giętkie ciało — biada ptakom, co nadlecą, biada wędrowcom, którzy nadejdą: w pysze z chwały swojej nie daruje nikomu! O Agaj-Hanie nikt nie słyszał od dawna; ale on nie przepadł jak gwiazda, co zlatuje na dół w głębiny świata, jak koncha, co z brzegu zsuwa się w bezdenności morza — on wybrał się sam jeden i przez pustynię życia do Medyny serca swojego pielgrzymował długo, o skwarze i pragnieniu, urągając się z przeszkód i trudów, aż wreszcie doszedł, a choć spalone ma czoło, nadwątloną siłę, nie żałuje tego! bo to dla ciebie czynił, hurysso moja!

A teraz chwila szczęścia nad nim zawisła, jako zbawienie nad grzesznikiem, co długo błagał proroka, aż prorok zlitował się jego wołaniem.

— Losem wojny — odrzekła surowo — w ręce sługi swego dostała się pani, ale nie przeto znikł rozdział między carową a giermkim. — Tu się zatrzymała, ale zaraz potem zawoła: — Nie—zanadtośmy bliskie śmierci, ażeby się jeszcze pysznić z darów, które niegdyś Bóg zlał na naszą głowę, a w upodobaniu Swoim odjął nam za to, żeśmy jego przykazań we wszystkim się nie pilnowały. Wśród tej pustyni, w której, jako przeczuwamy, grób nas czeka, zapomnijmy o Kremlinie i dniu owym, kiedy nie byłbyś śmiał oczu podnieść aż do poręczy

naszego tronu; ale imię na chrzcie nadane, ale drugie imię od przodków wzięte, tobie dobrze znane, twoją hardość ukrócić powinno. Owym pierwszym chrześcijanką jestem: uchyl czoła, pohańcze; owym drugim Polką: pamiętny klęsk i wstydu swojej braci, uniż się, Tatarze!

— Udajesz, chytra, bo znasz moje dzieje; one były muzyką twojego więzienia. Tam obsypałem cię perłami i diamenty z skarbnicy chwały moich naddziadów.

Uśmiech goryczy wykręcił mu usta.

— Nie mów już mi o tym, co przeszło, potem będzie sprawa i z nim, i z nimi; ale mów, że mnie kochasz, ale mów, że chcesz być morzem jasności i rozkoszy, w którym zatonę. Tyś mi życie przepisała na niwecz — jako gwiazda, co wróży nieszczęście, ukazałaś mi się i drasnęłaś promieniem, a potem zniknęłaś, o gwiazdo moja; porwały cię wiry z ognia i uniosły daleko ode mnie, a ja zostałem w ciemności, klnąc proroka, szarpiąc włosy. Językiem moim stały się przekleństwa, napojem łzy i krew, sącząca się z potłuczonych skroni. Ha! nagle porwałem się do biegu — ten, który cię uwiózł, nie ujdzie mej zemsty! Ścigałem i pieszo, i konno, podliłem się przed ludźmi, klękałem przed bojarami, a śmiałem się w duszy; oni myśleli, że to dla nich; a to dla ciebie było.

Kiedy to mówił, ciemniały mu rysy i pański głos przybierał; ona milczy i zdaje się nie słuchać.

— Ha! patrzcie: syn padyszachów, mocarz nad emirami, synowiec słońca darmo zebrze miłosierdzia u Łaszki! Gdzie twoje wojska, gdzie dwory, posagi, potęga, gdzie Dymitr, gdzie Zarucki? Opuściło cię wszystko, liść po liściu opadł z drzewa, strumień szczęścia fala po fali wysechł na żwirze niedoli. W kim dufasz, na czym się oprzesz? Spójrzysz wokoło, sama jesteś wśród hufców moich!

— Wiem o tym, że sama, i dlatego na śmierć się gotuję. Giermku, nie przeszkadzaj myślom moim, bo długi wątek życia muszę okręcić wkoło chwil tych kilku, co mi jeszcze pozostały, a potem rozkazy cara wypełnisz!

— O, zważaj, zważaj na moje słowa! Pokochałem cię, najcudniejszą wśród urodziwych, kiedy anioł zesłany od Allacha, przelatując powietrze, zatrzymałby się w locie, roztoczył nad tobą skrzydła i przypatrował się tobie tak samo, jak gdyby nową spotkał gwiazdę, w chwili kiedy na rozkaz Stwórcy wznosi się z otchłani i pierwsze najświeższe promienie rozsyła po świecie.

Dziś, hurysso moja, po długim niewidzeniu znów oglądam cię; ale mgła żałości obwija twe czoło, jad głodu i nędzy wgryzł się w rysy twoje, pył długich błędów i bitew przyprószył kwiecie jagód twoich, [od zimna skrzepla twa zrzenica] i na powiekach dławigasz ciężar bezsennych nocy. Byłaś jak chmura

ukochana od słońca; na całym niebie żadna insza jej nie zrówna, ona jedna ciągnie oczy k'sobie, bo do niej całego nieba zbiegły się jasności, szkarłaty i złota; wiatry jej się przymilają i śpiewają w chórze podczas błękitnej żeglugi. A teraz zda mi się, jakoby zaszło słońce, a owa piękna została z tyłu. Księżyc wznidzie i srebrem ją wieńczy, ona cała srebrna, przetykana gwiazdami; i patrzę na nią dotąd, i kocham dotąd. Zerwij się do lotu, chmuro, przebiegnij od morza do morza — gdzie takiego drugiego znajdziesz, co by zarówno cię ubóstwiało, czyś w pełni, czyś o zmierzchu twej chwały?

Zważaj, zważaj na moje słowa! Car tu jest niczym; z potęgi jego śmieje się Agaj-Han jak z kurzawy, którą z nóg otrząsa. Ja tu panem — na całą pustynię. Zapomnij o przeszłości jako o ptaku, co przeleciał i nigdy nie wróci! Na rącznych koniach uchodź ze mną razem! Za tymi piaski murawy się zielenią, kwiecia niemiara i ocean rozkoszy. Tam, hurysy moja, nas dwoje będzie, a świat cały naszym łóżem miłości. Precz mi z Ojczyzną, Bogiem, prorokiem, sławą i ludźmi! Żyć będę w objęciach twoich i skonam na twojej piersi. —

I zbliżał się do niej z drżącymi ramionami, jak gdyby ciało zabierało się do gwałtownego rozprzęgnięcia. Rozhuźdane chucie szarpią mu rysy na twarzy, skręcają usta, na których pożądlivość się pieni. Zęby dzwonią, lica biją od krwi, co do nich napływa. W tej chwili wszelki ślad Boży odpadł od niego, i stał się człowiekiem na podobieństwo szatana.

A ona, zawsze równie poważna i nieulekniona, wzrokiem, którym go hamowała przed laty, wstrzymuje i dzisiaj. On ślepego był męstwa na polu bitwy, odwaga w nim stawała się namiętnością, nieraz rzucił się jeden pośród tłumu nieprzyjaciół, nieraz, choć słabszy, okręcił się giętoko naokoło wroga i nagiął ku ziemi; nie z rozwagą, nie z zimnym statkiem szedł naprzeciw śmierci, ale z wściekłością, z obłąkaniem; a teraz do tej, którą ścigał tak długo, przystąpić nie śmie. Wyciąga ramiona — opadają ramiona; rzuca się ku niej, rad by ją porwać w objęcia i przygnieść do piersi i tarzać się z nią po ziemi jako wąż z gadziną, ale zawsze odparty owym spojrzeniem na pół dumnym, świętym na pół, w którym i wstyd niewieści, i uroczystość duszy myślącej o zgonie, i ślad cierpień miesza się [do czegoś dawnego,] do okazałości, pozostałej z tyłu powodzeń i potęgi; nie wiedząc, co czynić, to płacze jak dziecko, to zgrzyta jak potępieniec.

Ale bo też na czoło Maryny Mniszchówny dziwna zstąpiła uroda, nie owa ziemską, której hołd składają ludzie westchnieniem i pocałunkami, w której przypadek zdarza, iż róże zakwitną na licu, a gwiazdy zaiskrzą się w oczach, ale owa niebieska, co jako cień znikomy czasem objawia się na twarzy, a rysów się nie trzyma, a z płcią się nie zlewa, ale jest córką duszy, niepojętą i boską jak dusza.

Agaj-Han spiesznym krokiem przeszedł namiot i stanął naprzeciw łoża. Tam u

makaty haftowanej w najśliczniejsze kwiecie wisi sznurek jedwabny z błyszczącą gałką; porwał za nią i zawołał:

— Ha! doszedłem tajemnicy twojej — ty sądziłaś, że to perła ukryta w morzu. Igorze Sahajdaczny Zarucki, sam ukaż się lubej i rozwiąż ją od przysiąg wierności!

Rozśmiał się całym gardłem, jak śmieją się owi, co zmysły stracili, i ściągnął sznurek — wnet podniosła się kurtyna i coraz wyżej się podnosi i zwija.

A otóż na czarnej pościeli leży człowiek w zboczonych szatach. — Twarz blada i ręce białe, na szyi skrzepła krew się czerwieni jak naszyjnik z koralu, ale świeżości życia śmierć jeszcze dotąd całkiem wyssać nie potrafiła, choć już rysy rozwątliła i sinością powlekła. Nachylił się Tatar, rękę oplótł włosami głowy — i głowa poszła za ręką bez żadnego oporu. Przez chwilę kołysał jliń w dłoni, urągając ściętym ustom, spuszczonej powiekom, rozkoszując w śmierci niecierpianego, kiedy nie mógł rozkoszować w miłości kochanki; potem rzucił ją pod stopy Marynie i wtedy utopił w nią wzrok przenikający, zacięty, jakby dla wyśledzenia, czego mógł się spodziewać z niej po takim widoku.

Niegdyś byłaby wszystkim ogień oczów wyplakała nad ciałem kochanka, przekleństwami i zemstą ścigała mordercę, sama do oręża i konia się wzięwszy, w tropy za nim poleciała, wśród ciemnej nocy, po bezdrożach, napotkanego zmusiła do walki.

Ale dziś insze i myśli, i czasy — ręce wychudłe od nędzy, osłabłe od ciężaru kajdan; nikt nie stawi się na rozkaz, nikt nie poda ni sztyletu, ni szabli; a też już i pono ostatnia chwila się zbliża, o ziemskich uczuciach zapomnieć się godzi, gwoli świętszym marzeniom, duszę puścić trzeba w niebieskie szlaki, w drogę, u której początku się stoi, a której końca nie domyśleć się, o Panie Boże!

A zatem, nieledwo że konająca z wzruszenia i żałości, uklękła nad ową śniadą głową i spuściła ku niej oczy, a czym jednym mogła przysłużyć się jej, to za nią ofiarowała: modlitwę — szczerą i niepokalaną, którą polecała duszę zmarłego opiece aniołów. A potem wstaje, drżąc od osłabienia, z równym jednak blaskiem w zrzenicy, łzami nie zamglonej. Łzy są dziećmi przelotnego smutku, jak z chmury wiosennej na lica spadają i wróżą pogodę, ale kiedy zetnie ich mróz boleści, wtedy nie pytaj się o słońce, bo ono może już nigdy nie wróci.

W Agaj-Hanie wre ciągle namiętność i mózg szaleje. Znów przeszedł namiot jak długi, hetmana głowę pchnął nogą — ona potoczyła się ku ciału — i zapuścił kurtynę; potem zdjął znad łoża tesak oprawny w szmaragdy i niosąc go w ręku, zbliża się do Maryny:

— Nie igraj ze mną, niewiasto, iżby chwila miłości rączy nie uleciała, a wtedy nadciągnie godzina zemsty ikary: bo zemsta, jako miłość, weselem jest sercu, które przesiękło rosą południową. Każda kropla takowej rosy od waszych iskier gorzej pali i rozjątrza; różane w niej wonie i trucizna piekielna zarazem. Ogień, co krąży po mnie, jest wieczną ci tajemnicą, córko Północy; ale z nim tak ostrożnie, jako z płomieniem Allacha — bo on równie zabijać umie!

Tu nagła zmiana zaszła w jego rysach i postawie — raz jeszcze udaje się do prośby, raz jeszcze schyla przed nią czoło jako przed panią, spojrzeniom swoim żaru ujmuje i na drżące, czułe zamienia; głos zniżył i płyną jego dźwięki jako dumka przez dziecię śpiewana:

— Zmiłuj, o zmiłuj się nade mną, huryso moja! Gwoli tobie całe poświęciłem życie, potok lat młodych, który mógł huczeć i pienić się po świecie, rozwalać skały i wykorzeniać lasy, zmusiłem do płynienia za twymi śladami, a on się stał drobnym strumieniem, który wyschnie w pamięci ludzi.

Ostatni jestem z mojego szczepu — mamże się rozbić marnie na skale twojego niemiłosierdzia i zagać bez sławy, bez rozkoszy, jako wyspa na morzu? Patrz, występuje z łona kipiących bałwanów, dniem i nocą złote miota ognie, nikt jej nie widział i nie dziwił się jej; samotna wśród pustyni wód, wylała całą okazałość i znów zapada w otchłań. Tak i ze mną będzie. Śmierć ci grozi wszędzie, piołun rośnie, gdzie spojrzysz tylko, a tam, gdzie ci wskazuję, wonieją róże i jaśminy. Skosztuj, huryso, pucharu miłości mojej, służyć ci będę jako duchy w niebie służą Allachowi — w jasności oczu twoich jako motyl ulatywać będę, dopóki olśniony, upojony, spalony, nie padnę u stóp twoich, a wtedy popiół ze mnie i kurzawa, a wtedy deptaj po mnie i przeklinaj mnie; ale teraz bądź moją, roztwórz objęcia twoje i synowi padyszachów daj spocząć na liliach twej piersi, na białej piersi!

I rysy młodocianą przybierały barwę. Jako kwiat, o skwarze słońca zwiędniały, a wieczorem podnoszący liście, tak i on w tej chwili rzeźwił się w nagłej czułości; uśmiech miłosny, swawolny usta mu krasi — założył ręce i błaga.

— Nuradyna murzy żaden z jego ludzi by nie poznał

w tej chwili; myśląc o tobie, zatraciłem i język, i naukę moich ojców: z duchami już nie umiem rozmawiać, ludziom rozkazywać nie potrafię. — Wymknął mu się tesak z dłoni i podnosił oczy ku Marynie, jako chrześcijańskie dziecię, klęcząc, podnosi oczy ku obrazowi Świętej.

— Morderco, pohańcze bez wstydu i bojaźni Bożej, nie każ moich myśli twoimi gwary! Możesz mnie męczyć i zabić; Maryna Mniszchówna śmierci się nie lęka, bylebyś umilkł i chwil kilka do modlitwy zostawił.

Głos jej posępny, wzgardliwy przeszył wskroś Agaj-Hana. Schyla się niżej, ale nie w pokorze, jedno, by podnieść sztylet upuszczony, a kiedy go podniósł, wyrwał z pochwy, pochwę cisnął pod nogi, a rękojeść okręcił palcami, aż mu żyły ręki nabrzmieją, a do oka, do rysów ciśnie się wyraz wściekłości. Całym ciałem trzęsie się gwałtownie, ścisnął zęby, jak gdyby chciał się wstrzymać, ale głos, w którym wcieliła się namiętność duszy, usta mu rozerwie.

— Miłość twoja była dla mnie jako ten most śliski nad otchłanią, po którym wszyscy w godzinę sądu przechodzić mamy do nieba; ale teraz dostałem się do raju — do raju zemsty!

I klingą tesaku śmigał wokoło jej skroni, wokoło piersi; ona zbladła, lecz do prośby się nie zniży, krzyku nie wyda, a na klindze rozbite promienie wiązkami światła błędzą po jej licach i szyi, jak błyskawice, które lustro miecie, kiedy w nim odbije się słońce.

On igra z nią i po jej puklach, po czole rozwodzi sztyletu połyski — powoli, z przerwany oddechem, z jaskrawymi oczyma, jak gdyby w tym czuł lubieżność jaką.

— Huryszo moja, jakżeś mi piękną w godzinie śmierci! A wiesz, dokąd idziesz i gdzie dostać się masz? Bez duszy, bez życia wiecznego, maro, stworzona ku uciesze mężów, w proch się rozpadniesz i nic z ciebie nie będzie. Czemuż tak się kwapisz do snu i ciemności grobowej? Mniejsza o śmierć dla nas, którzyśmy nieśmiertelni; ale ty, niewiasto, nie ujrysz nigdy pałaców Allacha; jako lampa, którą duch bagnisk zawiesza na swoich kępach, świecisz trochę i umierasz na wieki. Ty i róża, obie nie macie duszy, jedno wasze barwy i zapachy mózg zawracają ludziom; a kiedy zwiędniecie, nikt nie troszczy się o was ni na ziemi, ni w niebie.

Wzdrygnęła się na te słowa niewiernego; ona stoi nad grobem, a on jej przepowiada, iż nie odżyje więcej! Mróz przejął serce nieszczęśliwej — bo choć wierzy dusza w obietnice Pańskie, ciało drży, zziębłe i osłabłe, kiedy chwila zgonu nadchodzi.

Ależ anioły stróżę pilnują chwil naszych ostatnich i powiewem skrzydeł swoich rzeźwią nas w konaniu; ona też wraca do wiary i ufności, na Agaj-Hana spojrzę jak na złego ducha i milcząc, każdym biciem serca modli się do Boga.

Agaj-Han lewą ręką porywa ją za szatę, prawą tesak podniósł i trzyma nad jej piersiami. Ona oczy przymknęła; ale powoli jego ręka mdleje, ramię zgina się i opada na dół stopniami, wreszcie opadło zupełnie, a sztylet wisi u palców i ledwo się ich trzyma.

— Giermku, dlaczego przedłużasz konanie Maryny Mniszchówniej? Jużem myślała, że zawarłszy powieki, dopiero się obudzę gdzie indziej, nie w tym namiocie — nie na tej ziemi. Izali czekasz jej próśb za życiem, jej ukłonów tobie? Próżna zwłoka, próżne i płonne nadzieje! Daj mi pokój, Tatarze, i kończ coś zaczął, bo ci Polka zaprawdę powiada, iż przed tobą nigdy się nie uniży! Panie Boże i święta Bogarodzico, zmiłuj się nade mną!

Jęk rozpaczony wyrwał się z Agaj-Hanowej piersi, i ścisnął tesak, i znów podnieść chciał, ale nie potrafił; ten drobny oręż nad miarę ciężał jego dłoni, a zatem go upuścił i zdeptał gniewnie; potem w milczeniu po namiocie się przechadza, to krok za krokiem, wlecząc się, gdyby na siłach mu zbywało, to podskakując, jak gdyby nagle kula mu w piersiach utkwiała. Bladość śmiertelna po licach mu się rozlewa. Zda się, że namiętność, co miotała nim i życiem jego była, z przesilenia skonała. Padł na kobierzec i gdyby nie oddech głuchy, ciężki, przzerwany, miałbyś go za trupa.

Po chwili podnosi się wpół i wyciągając ramiona, przemówi głosem człeka, co draśnięty światłem miesięcznej nocy, we śnie się odzywa:

— Garnijcie się do syna waszego sułtana, emiry pustyni, bo on dziś piękną pojmuje żonę! Długo błądził i chleb gryzł suchy u niewiernych, i psem był chudym u ich żłobów — ale teraz weźmie za rękę tę, którą ukochał, i pójdzie z nią.

Horbrowie, nędzny bojarze! Tyś myślał, że ci tę perłę rzucę pod stopy, abyś ją zgniótł i u cara za to miłościwej łaski nabył? Gnij w Astrachanie, stary, i nie pytaj się o najurodziwszą z córek Adama!

Tu uśmiech gwałtowny usta mu opanował, tak że przez chwilę dalej mówić nie mógł.

— Ojczy mój, gdzie jesteś? Trzy krople krwi z głowy twej spadły mi na skronia. Hurysa moja, we śnie i na jawie panią byłaś Agaj-Hana. Co to za imię? Ktoś go nosił przed laty. Królom i szachom diament potęgi pali się na zawoju, ale to znikoma gwiazda! Oni dziś panują, a jutro ich synowie skowyczą z głodu po ulicach miast.

Widziałem, zważałem, kiedym przechodził, a zimno usypiało nogi; wiecznie tam lodu nie masz, otwór — pchnąć — zleci — Moskałom się nie dostanie — oni by ją rozćwiertowali. Tu głowa się toczy, tam skacze ręka, drgają ówdzie piersi — nie — nie, przez Allacha! przez Haruna — cała, nieskażona, jako piękna jest na ziemi, tak piękna zstąpi w dół — a w głębi miękki piasek — i rozciągnie się na nim jako na łożu rozkoszy.

Podczas tych słów zrzenica jego nabierała stopniami coraz więcej obłądu. [Z początku latała prędko, a była zimną i szklniącą, jak gdyby łyzy do niej przymarzły, potem zajęła się suchym ogniem.] Przestała się toczyć, wryła się w białko. Już nie rozmaite uczucia, jako dotąd bywało, unoszą się na różne strony w jego spojrzeniach — myśl jedyna, po której żadnej drugiej już nie nastąpi w jego duszy, przebija we wzroku. Powstał jak zwierzę pędzone instynktem i ujął za ramię Marynę, i szedł ku tylnym drzwiom namiotu; ani, Wychodząc, przepasał bułat lub wziął kindżał swój, szedł, wlepiając oczy w nią, ściskając za rękę tak, że jęczyła z bólu; lecz ani już grozi, ani się przymila; w milczeniu prowadzi ją z dala od obozu, po piaskach, ku brzegom Jaiku.

Słońce już ma się ku zachodowi i jako zwykle w pustyni, im bardziej spuszcza się na dół, tym bardziej krwią się zalewa; powietrze wiosenne, ciepłe, śnieg tu i ówdzie wypami się jeszcze trzyma, w górze klinem suną żurawie, za nimi ciągną kuliki i ostrymi głosy rozmawiają podczas podróży.

Stanęli nad Jaikiem. Strome z piasku i żwiru ulane jego brzegi, a rzeka cała, dotąd ścięta lodem, połyskuje czerwienią zachodu; ale można już, dojrzeć w oddali walące się ogromy, nurtem pędzone, gromadzące się u zapory z lodu, nie przerwanej jeszcze, trzymającej się obu nabrzeży, które właśnie w tym miejscu zbiegają z góry i wstępują w koryto, jakby na pomoc lodowi; ale już słyhać z daleka huki łamiącej się kry, roztrzaskujących się brył, a bliżej głucho szumy, które podnoszą się z głębi wód — to niby kipią tam pod spodem fale, to znowu stękają, przyparte ciężarem. Znać, że się rzeka zabiera do buntu, a wiatr, ulatując nad nią, poklasku je ciepłymi skrzydłami.

O! sił już nie staje Marynie — zawróciła się głowa wśród odmętu przyrodzenia. Jeszcze raz palce podniosła ku czołu i tam znak święty składając, szepce: „W imię Ojca” — i wargi nie zbiegły się, usta na pół otwarte zostały, ale gwarosu już się nie spodziewaj po nich.

Agaj-Han porwał ją z siłą olbrzyma i niosąc w objęciach, na zabój się rzucił pomiędzy urwiska i cyple. Zlatuje na dół, bezpieczny, bo duch szaleństwa czuwa nad nim jak[o] nad synem [swoim]. Piasek urywa się pod stopami, a on nie pada; o głązy się potyka, a nie nachyli się nawet, skacze i pędzi, żwir spod jego nóg leje się strumieniem, coraz niżej, coraz niżej — wreszcie dobiegł, kędy ład się kończy, a lód poczyna; wstąpił bez namysłu, bez wahania, i jako biegł po ziemi, tak ślizga po lodzie bez żadnego szwanku — wśród zawałów śniegu.

Oba brzegi cienie swe na Jaik rzucają, pośrodku nich, gdzie już zetknąć się mają, wstęgę krwawego światła rozciągnęły zachodzące promienie; do tej kiedy doszedł Agaj-Han, stanął i szukał czegoś wokół — ale nie złożył Maryny, choć dyszał i kroplami potu oblane miał czoło. Czego szukał, znać, że dojrzał, bo skoczył i znów w bieg się wprawił, i leciał w stronę morza — w cienie już nie

zbaczając, ciągle się trzymając drogi, którą słońce wytknęło.

Niedługo znów stanie. Coraz huk się powiększają, gdzieś lód już pęka, ale on jeszcze stoi na bezpiecznym miejscu, choć u samego brzegu otworu, w którym tryska woda; znać, iż tam źródło odwieczne, bo naokoło wszystko zmarzło, a ono czyste, wirem się kręci i parą bucha.

— Obudź się, obudź się, huryso moja!

I ręką tarł jej skronię, i kroplami wody twarz jej obsiewał.

Otworzyła oczy i milcząc, z ramion jego wysunęła się ostatkiem mocy. Chciała krokiem postąpić dalej, padła na lód kolanami, ale już nie mdleje; widzi, słyszy, rozumiała, jaki los ją czeka, i w tej uroczystej chwili — jeszcze raz podniosła głowę, jak gdyby chciała umrzeć z godnością królowej.

Kłęczy na samym brzegu przepaści — on stoi nad nią z wzrokiem szaleńca — i może nie wie już, kto ona, skąd przyszła; może zapomniał swej miłości, swoich cierpień i trudów; ale on wie, że tu jej zginąć trza; i objął ją ramionami bez wściekłości, bez wyrazu zemsty na twarzy; pomimowolnie prawie, jak gdyby tajemnicza siła władała nim i on jej oprzeć się nie mógł.

Poszła na dno i fale zakipiały nad nią; wróciła raz tylko, ręce podniosła nad wodą i znów fale je zaleją, ani słysząc, by już mocowała się z nimi. Źródło wre jak pierwej, ale żaden inny głos nie przymiesza się do jego szumu — jedno na nim wśród czerwonej jasności igra między bąbelkami czarna wstążka z haftem złotym. Głowa, która go nosiła za życia, kędyż leży teraz?

Agaj-Han, niewzruszony, patrzy na topiele i czasami ręką pociera czoło. Niełacno rozum odwołać, kiedy opuści duszę i zostawi pustkami, jako świątynię, z której wyszli bogi. Stoi i czeka, jakby się spodziewał, że owa, którą kochał, nazad podniesie się z toni, świeża i młoda, a w powtórnym na świat przyjściu zapomni o przeszłych dolach i jego miłości wystucha.

I oczy wytrzyzcza, i natęży ucho jako strzelec w kniei. — Tymczasem wokoło powstają hałasy rozmaite, dziwaczne, które, z dołu się podnosząc, zdają się ostrzegać o niebezpieczeństwie. To jęk z oddali przylatuje, to wiatr gdzieś wpadł między kłęby śniegu i wzdycha jak dziewczyna; to niby skowyczenia gromady szakalów, co uciekając, ku nadbrzeżom pędzi; aż tu znowu ścierają się gdzieś bryły lodu i chrobocą jak piły, nagle zahuczają jakoby wysadzone w powietrze, potem słysząc szum fal wartko płynących i wrzaski ich wściekłe wokoło przeszkód biją się, potem znów szumią — znać, że tamę przepały.

A bliżej wokoło niego lód się ugina i warczy, pokrywa się rysami, to dziurki się wyłupią, to cały kawał się oderwie i kołysany przez wodę, tłucze o przyległe

ściany; świsty wiatru się wzmagają, pomiędzy nimi gęsi dzikich z góry zlatują głosy i jastrzębiów przeraźliwe krzyki — z tyłu coraz więcej gromadzi się lodu; już nie bryłami, ale wzgórzami, które oblegają zaporę, co dotąd się nie ruszyła, i walą w szeregach z łoskotem piorunu. — Ich ostre szczyty połyskują żarem od ostatnich promieni słońca. I, by chciał nawet odjąć się zagubię, już za późno; ależ on o tym nie myśli; ku miejscu, gdzie zniknęła niewiasta, wciąż dzierży oczy, ani zważa na to, co się dzieje wokoło; bojaźni żadnej twarz jego nie pokazuje, stoi, gdyby wryty, i nie zdrzy ni razu, stoi i czeka wciąż, a w jego mózgu szaleństwo odprawuje tajemnice swoje.

Słońce zapadło w głąb gdzieś za krańcem pustyni; pożar ogromny po sobie zostawiło na niebie; tam palą się chmury i wzbijają się dymy, a tu roztrzaskują się lody. Nurt, płynący z góry, je rozbija i miele, co chwila się przysuwa, a posada, na której Agaj-Han duma, trzęsie się od jednego brzegu do drugiego; w wirach podniosły się śniegi i latają w powietrzu jako mgły jakie, wichur pomiędzy nimi harce odbywa swoje i żałośnie jęczy, grzmoty jedne po drugich się rozlegają, coraz bliżej, coraz bliżej. Zda się, jak gdyby na nowo archanioł ciemności zwoływał swe hufce i gotował się do walki przeciw wszechmocnemu Bogu.

Wszystko rwie się i pęka; chwil kilka uszło jeszcze, na krę cały lód się podarł, a on został na szerokim cyplu i oddala się od źródła, kędy zginęła Maryna. — Błyskawicą pędzi pomiędzy bryłami, a ręce wyciąga i jeszcze patrzy na niego wzrokiem bez życia, świecącym, jako świeci próchno.

I z tyłu, i z przodu pędzą za nim, pędzą przed nim lody, on na swojej wyspie, okolony słupami, wzgórzami, ostrzami, leci wśród odmętu; co chwila topnieją, kruszą się jej brzegi, to w kliny się wytną, to wygładzą się okrągło, ale coraz ich mniej, coraz mu ciaśniej. Trzyma się na środku, ręce na piersi założył, zawój bogaty mignie jeszcze czasem w promieniach zmierzchu. Nadbrzeżów Jaiku nie dojrzeć już, bo filary, zawały, kopce z lodu je przesłaniają; woda i lód — oto świat jego — ale on tego nie poznaje świata, bo dziwaczne otaczają go kształty, bo płynie jak strzała i te kształty płyną z nim — przy ciągłym huku, przy ciągłym szumie. To mu się wydaje, że kręci się na jednym miejscu, to znowu, że olbrzymy krainy nadziemskiej podają mu dłonie i ciągną go z sobą, a zimno, a okropnie, a coraz ciemniej, lecz pośród cieniów znać ciągle, jako te duchy skaczą i suną wokoło. Raz tylko podniósł głowę, i to nie z namysłu — przypadkiem, nie wiedzieć dlaczego, a nad sobą dojrzał gwiazdę, z którą biła się czarna chmura. To mu przypomniało, że kiedyś bywał w okolicy, skąd takie gwiazdy i takowe chmury widne bywały, że w tej samej okolicy urodziwa postać przechadzała się niegdyś, i chciał dalej przypominać sobie, ale gwiazda zniknęła, rysów tej postaci doszukać się nie mógł — i głowę spuścił na piersi.

Ku morzu, ku morzu kra Jaiku pędzi i z nią Agaj-Han. Żegnaj mi na wieki,

dziecię mojej wyobraźni — za chwil kilkapochłoną cię fale i przerzucić sobie twoje ciało będą. Życie ci przeszło na mękach, a mściłeś się zbrodniami na tych, których nienawidziłeś, na tej, którąś kochał. Teraz ty i ona jednymżeście porwani pogrzebem; a wasze dusze kędy się podziały? Nie słychać było, jako z waszych wykładały się piersi, nie słychać było ich lotu w przestrzeni, ale ona, konając, modliła się Maryi.

Królowo Polski! daj jej zasiąść u stóp Twoich, bo korona carów była dla niej wieńcem cierniowym, życie całe długą pielgrzymką, daleko od Ojczyzny, wśród obcych i zawistnych. Królowo Polski, zlituj się nad córą Twoją!